POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 16-go października 1943r. | Rok V. Nr. 41

ZMIERZCH BOGÓW

" So soll Europa stehn in Flammen
Bei der Germanen Untergang."

Do Londynu przesiąkły pogłoski o demonstracjach studentów na kilku uniwersytetach niemieckich. Demonstranci wznosili ponoć antyhitlerowskie okrzyki i wołali: " Chcemy pokoju."

Bóg jeden wie jakimi kanałami wiadomości takie z Rzeszy wyciekają. Trzecia Rzesza bowiem, jeżeli chodzi o łączność z resztą świata, jest dość szczelnie izolowana. Policyjna organizacja państwa totalnego aż nadto starannie dba o to, aby nic szczególnie niemiłego dla hitlerowskiego reżimu nie dostało się do świadomości przeciwnika. Czasami ma się wrażenie, że gdzieś, ktoś starannie wysmaża taką plotkę, aby mydlić oczy sprzymierzonych istnieniem " dobrych Niemców," pomagających Zjednoczonym Narodom walką podziemną w wywróceniu Hitlera.

Zamiast więc sprawdzać źródła i prawdopodobieństwo wieści o wspomnianych manifestacjach młodzieży niemieckiej sięgnąłem do pamiętników byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Berlinie, w czasie tamtej wojny, James W. Gerarda i dla analogii przytaczam z nich taki oto urywek:

" Wrzesień 1916. — Nasz konsul generalny w Hamburgu donosi, że wybuchły tam poważne rozruchy. Dwie demonstracje wywołały klasy biedniejsze, głównie kobiety, a jedną studenci. Tłum wołał: " precz z cesarzem," domagał się zakończenia wojny i bezwzględnej, ostrej wojny okrętów podwodnych przeciw Wielkiej Brytanii."

To nie niemieccy pacyfiści wyszli wtedy na ulicę. Demonstracje miały charakter antyreżimowy, ale treść zawierała żądanie zaostrzenia metod walki i przyśpieszenia tym upadku przeciwnika, nie zaś — szybkiego poddania się.

Więcej znaczenia jestem osobiście skłonny i dziś przypisywać tym wiadomościom, które mówią o głębokiej nienawiści znacznych odłamów społeczeństwa niemieckiego do Wielkiej Brytanii i aliantów, niż tym, które mogą łudzić domysłami, że Niemcy już smażą się we własnym sosie. Jestem też przekonany, że jest coś w twierdzeniu Goebbelsa z jego mowy w pierwszą niedzielę października, iż masy niemieckie żądają ostrych nalotów represyjnych na Wielką Brytanię. Co oczywiście wcale nie znaczy, aby Hitler miał prawo mówić na swoje konto:

—Byczo jest!

W " *Völkischer Beobachter* " umieszczono fotografię z uroczystości obejmowania przez Himmlera urzędowania w jego nowym charakterze — ministra spraw wewnętrznych Rzeszy. Niezgrabna postać tego byłego agronoma stoi na fotografii w otoczeniu dziesiątka umundurowanych urzędników. Wszyscy na baczność, z czapkami w ręku. Jedynie Himmler ma na głowie swój wysoko nad czołem odgięty kaszkiet. Wiadomo co znaczy wejście tego człowieka do " matki wszystkich ministerstw," jak Niemcy nazywają swoje *Reichsinnenministerium.*

Jest co w Niemczech trzymać w garści. Gdzie bombowce sprzymierzonych jeszcze nie docierają ze swymi paraliżującymi życie gromami, tam po miastach i miasteczkach tysiące sklepów i warsztatów rzemieślniczych też stoi pustką, gdyż z powodu totalnej mobilizacji sił ludzkich, trzeba było je zamknąć. We Włoszech walczą dywizje niemieckie, które zostały już drugi raz przeorganizowane na skutek wycięcia pierwotnych składów na wschodzie i w Afryce. Beczka rezerw ludzkich świeci dnem.

W fabrykach i gospodarstwach rolnych Niemców zastępują robotnicy cudzoziemscy. Jest ich teraz w Niemczech od 8-10 milionów. Co ósmy więc człowiek w Niemczech nie gada, ale i nie myśli po niemiecku. Co ósmy mieszkaniec dzisiejszych Niemiec życzy im przegranej. Pokazuje to, ile razy może. Peszy, ile razy się na niego spojrzą wątpiące w zwycięstwo oczy tych Niemców, których jeszcze totalna wojna nie przegnała na front, lub którzy przetrąceni działaniami wojennymi już z tego frontu musieli wrócić.

Propaganda niemiecka, ten precyzyjny aparat do podsycania morale, ma zadanie także coraz trudniejsze. Najpierw tłumaczono masom niemieckim, że wojna obecna na pewno zostanie wygrana, gdyż tym razem Niemcy idą ręka w rękę z Moskwą. Pamiętam w " *Das Reich* " w początku 1941 r. wielką mapę Rosji, przeciętą skalą kilometrową, mającą obrazować te tysiące mil przestrzeni, otwartej dla potrzeb wywozowych Niemiec i bezpośredniej łączności z Japonią.

W czerwcu 1941 r. to okno rosyjskie na świat Hitler własnoręcznie zatrzasnął. Biedny Hans ogłupiał, ale już mu Goebbels tłumaczył, że wygrają, bo Włochy są z nimi; Włochy z zasobami w Afryce, złotem Abisynii i armią u progu Kanału Sueskiego. Historia rozłożenia tego oparcia dla walczących Niemiec jest dobrze znana. Fryc oniemiał, gdy Badoglio podpisywał zawieszenie broni. Czujny Goebbels teraz mu z pasją tłumaczy, że nie o Włochy chodziło, a o Duce, którego przecież S.S. wykradły.

Nie roztrząsam teraz sytuacji Niemiec na frontach, ale i tu najbardziej tępy Piefke musi głęboko zastanawiać się nad zmiennością losu. Szczególnie muszą mu grać na nerwach następujące fakty:

1/ Wojna na wschodzie przygważdża prawdę o utracie inicjatywy. Straszna to prawda dla narodu przez lata karmionego sukcesami zaskakiwania przeciwnika.

2/ Wojna na południu wolno, ale nieubłaganie zbliża Wielką Brytanię i Stany do granic Rzeszy. Mocarstwa morskie włażą w ląd, lądowa potęga Trzeciej Rzeszy nie może ich zatrzymać.

3/ Wojna na Atlantyku nie przyniosła spodziewanych sukcesów. Prasa niemiecka nie mogła latem tego roku ukryć bezczynności okrętów podwodnych. Stwierdzenie tym bardziej ponure, że nadzieje wiązane z wojną podwodną zawiodły także dwadzieścia pięć lat temu.

4/ " Luftwaffe " ani nie ma możliwości zahamowania nalotów sprzymierzonych, ani nie wykazuje inicjatywy do lotniczego przeciwnatarcia.

Nie wolno też zapominać, że po raz pierwszy w tej wojnie doszło do tego, iż cywilna administracja niemiecka zwija manatki i ucieka. Nieprzyjaciel bowiem we wrześniu wszedł wyraźnie na terytorium " *Grossdeutschland.*" Nowe, obecnie dla szkół niemieckich wydane atlasy, mają przecież na wschodzie ładnie wykreślone okręgi niemieckiej administracji cywilnej z napisami: " *Generalbezirk Kiew,*" " *Generalbezirk Dniepropetrowsk,*" " *Generalbezirk Shitomir* " i t.d. W okręgach tych usadowiły się firmy niemieckie, rozgościli cywilni instruktorzy, wysyłano tam do obozów letnich *Hitlerjugend.* Nieprzyjaciel jest już na tym terenie, albo się doń zbliża. Administracja cywilna niemiecka jest z nich wycofywana. Wróg stoi w granicach " *Grossdeutschland.*"

Następstwa psychologiczne tego będą tym większe, że równocześnie trzeba było rozpocząć z Estonii i Łotwy ewakuację dzieci niemieckich, które wywieziono tam z zachodnich, bombardowanych okręgów Rzeszy. Ewakuowane na wschód dzieci wracają znowu do Niemiec. Firmy niemieckie wiedzą, że nie mają po co korespondować z filią w Melitopolu czy w Dniepropetrowsku. Instruktorzy rolni, kupcy, urzędnicy niemieccy także przywiozą do Berlina, Lipska, Halle, czy Wismaru wiadomość, iż przegnano ich. Jakże Goebbels będzie teraz wmamiał: " . . . że zdobycze nasze na wschodzie są utrwalone raz na zawsze " ?

I stąd Himmler w *Reichsinnenministerium,* aby odrabiać terrorem to, czego Goebbels nie dociągnie perswazją. Stąd rekrutowanie SS'ów już nie tylko z Niemców, ale przede wszystkim z cudzoziemców — Germanów, zaprzysięganych na wierność: " Hitlerowi, jako wodzowi narodów germańskich " — jak brzmi rota przysięgi. Ta legia cudzoziemska wytresowanych niewolników ma brać za mordę Niemców. Bo trzeba by nie znać narodowego socjalizmu, żeby myśleć, iż nie będzie się on bronił do ostatka, bronił z tą samą pasją, z jaką oficer niemiecki — lotnik, wzięty do niewoli w Anglii, ciężko ranny odmówił zgody na transfuzję nie-niemieckiej krwi i umarł. Może ku zdziwieniu tych, którzy w Hitlerze, Himmlerze i Goebbelsie widzą tylko antychrystów, gnębiących zastępy niemieckich aniołów.

Na co jednak Niemcy spekulują kontynuując wojnę? I to nie tylko sfery urzędowe. Partyjny " *Der Angriff* " pisał 23 lipca b.r. w artykule swego publicysty Leersa:

" Rosja Sowiecka cierpi na wielkie braki w aprowizowaniu kraju i w dostawach przemysłowych. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone muszą liczyć się ze wzrostem komunizmu w tych krajach. Roosevelt w roku przyszłym musi stawać do wyborów na stanowisko prezydenta i z tego powodu istnieją setki możliwości wewnętrznych zamieszek w Ameryce Północnej. Dlatego sprzymierzeni tak śpieszą się ze złamaniem oporu Niemiec."

W innych artykułach prasy niemieckiej argumenty te powtarzają się, przy czym często podkreśla się jeszcze nadzieję na kompletne pęknięcie czułego instrumentu współpracy Zjednoczonych Narodów. Niemcy liczą na to, że ich przeciwnicy wyczerpią się politycznie, względnie gospodarczo szybciej od nich, że może się nawet zupełnie załamią. Idą więc na przetrzymanie i raczej ograniczanie wszelkich militarnych inicjatyw, co oczywiście tym bardziej zachęca ich do intryg, mających za cel polityczne pokłócenie, względnie skompromitowanie przeciwników.

Niestety nie ma w tej chwili ani publicystycznej swobody, ani technicznej możliwości roztrząśnięcia w związku z tak nakreślonymi spekulacjami niemieckimi pogłosek o rozmowach niemiecko-rosyjskich. Oficjalne agencje niemieckie w ostatnich czasach przyniosły kilka zaprzeczeń tych pogłosek. Jedna z rozgłośni fińskich, pro-osiowych oczywiście, niemniej podała po rosyjsku wiadomość, że o takie rozmowy zabiega usilnie ambasador japoński w Moskwie. Czy z własnej inicjatywy, czy za sugestią Ribbentropa czy w ogóle nie, to wykaże przyszłość. Nie trzeba być przedwcześnie ciekawym, czy z kaczego jaja wykłuje się złośliwy kaczor, czy też dziennikarska kaczka.

Oczywiście każda ocena sytuacji wymaga pewnych wniosków. Pokuśmy się o to i w tym artykule. Niemcy mają dość sił, militarnych, aby nadal przetrzymać obecny, krytyczny okres. Duch mas jest osłabiony, ale trzyma się stalową obręczą państwa totalnego i strachem przed przegraną. Bo masy niemieckie ciągle jeszcze nie akceptują klęski Niemiec, nawet gdyby ona miała przynieść usunięcie od steru Rzeszy reżimu narodowo-socjalistycznego. Liczą natomiast na to, że sprzymierzeni mogą popełnić jakiś błąd.

Za wcześnie byłoby więc u progu nowej wojennej zimy mówić o dokonanym załamaniu się Niemiec. Wszystko natomiast przemawia za tym, że obok skupienia sił fizycznych do ostatecznego rozgromienia Trzeciej Rzeszy, potrzeba jeszcze wielkiego rozumu, aby dotrwać politycznie do momentu, gdy dziś trzeszczące Niemcy zaczną się walić. I na tę chwilę trzeba mieć także gotowy plan. Niemcy bowiem, walące się mogą pogrążyć Europę w chaosie, który zapowiada pieśń wkuwaną co dnia w młodzież niemiecką w szkołach, a z której jeden zwrot wziąłem za motto niniejszego artykułu. Chyba, że znajdą lepsze, dobrze ich asekurujące przejście od zmierzchu wielkości Trzeciej Rzeszy w jakąś nową — awanturę Nibelungów Rzeszy Czwartej. Nie mogę już o tym szerzej pisać z braku miejsca dziś, ale nie mogłem tego nie podkreślić choć tym krótkim zdaniem.

4 października.

JÓZEF WINIEWICZ

ARTUR HOROWICZ: Towarzysze



Szkic sytuacyjny

TEMPO WE WŁOSZECH

Postępy armii sojuszniczych we Włoszech są powolne, znacznie wolniejsze, aniżeli przypuszczano i oczekiwano. Dowodzi to dwóch rzeczy: *Niemcy rzucili do walki znaczne posiłki* — ocenia się już dzisiaj siły niemieckie na obszarze Włoch na 25 dywizyj — z drugiej strony *opór niemiecki staje się coraz mocniejszy.* Sojusznicy nacierają obecnie na stanowiska o wiele lepiej przygotowane, niż pozycje na południu. Logika wskazuje, że im dalej na północ tym cięższe będzie zadanie, albowiem Niemcy przysposobili na pewno linie obrony.

Ze swej strony alianci muszą umacniać zdobyty już teren, nasycać go sprzętem i ludźmi. Wydaje się, że usilnie starają się zamienić dotychczas uzyskane obszary w wielką bazę, przede wszystkim lotniczą, z drugiej zaś strony porty takie, jak Neapol odbudować możliwie najszybciej, ażeby przez nie mógł płynąć sprzęt i posiłki. Nie należy zatem oczekiwać we Włoszech nadmiernie szybkich postępów, raczej chwilowej przerwy, aż do chwili, gdy takie ośrodki, jak wieniec lotnisk koło Foggii zaczną działać. Następne stadium działań we Włoszech to przypuszczalnie wielkie uderzenia lotnicze w okolice Rzymu i poza Rzym, głównie na węzły kolejowe jak Bolonia, Bolzano, przełęcz brennerska. Chodzić będzie o rozprzężenie w sieci kolejowej Włoch płn. i o możliwe przerwanie połączenia Niemiec z Włochami.

Z tego wszystkiego widać, że działania we Włoszech zanoszą się na dłużej. Było by nielada sukcesem, gdyby w ciągu tej jesieni zdołano dotrzeć do niziny padańskiej. Jeżeli by w czasie zimy 1943/44 wojska nasze stanęły na granicy alpejskiej, należało by to powitać jako doskonały wynik.

Dodajmy od razu, że ci wszyscy co orientowali się w znaczeniu Włoch dla Niemiec, jak i w sile niemieckiej ciągle jeszcze istniejącej, a wreszcie w układzie geograficznym kraju, zdawali sobie sprawę, że *pochód wąskim pasem frontu jest czymś bardzo ciężkim*, pomimo tego, że flota brytyjska może nieść — i niesie —pomoc od strony morza. *Zdobywanie Włoch jest mozolnym zadaniem.* Przypuszczać wolno, że pochłonie ono więcej wysiłku aniżeli sądzono.

Pomocą dla akcji we Włoszech było by oczywiście uderzenie na Bałkany. Prasa brytyjska wyraża niejednokrotnie w czasach ostatnich żal, że nie wykorzystano chwili załamania się Bałkany. Nie wiemy skoku na Bałkany. Nie wiemy jednak, czy tego rodzaju akcja była w ogóle możliwa i jakie były siły, które można było przerzucić na pobrzeże Dalmacji czy Albanii.

BOJE W DALMACJI

Walki na brzegu dalmatyńskim oraz na wyspach tego kraju noszą charakter dorywczy. Doniesienia są sprzeczne. Wydaje się, że powstańcy jugosłowiańscy atakują raz jeden, raz drugi punkt, zmuszani są co chwila do wycofywania się w góry, odstępują, jeżeli tylko pojawia się większa siła niemiecka. Wyspy dalmatyńskie, stanowiące doskonałe odskocznie, przechodzą bodaj z rąk do rąk. *Akcja w Dalmacji nosi charakter dywersji, ale nie jest jeszcze wojną regularną.*

Prasa londyńska domaga się większego wsparcia dla powstańców. Opóźnianie się akcji naszej na tym obszarze jest — tak wolno sądzić — nie tylko wynikiem organizowania wojskowej pomocy /kapitulacja włoska przyszła wcześniej, aniżeli liczono i dlatego stanowiła pewne *zaskoczenie*/, ale uzależnione jest także od decyzji politycznych. Narady w Moskwie, które rozpocząć się mają *dnia* 17-*ego b.m.* i pociągnąć do końca miesiąca, przyniosą zapewne wskazówki co do akcji na Bałkanach.

NARADY W MOSKWIE

Tematem narad w Moskwie, gdzie znajdzie się silna delegacja angielska i amerykańska obok delegacji sowieckiej z p. Mołotowem na czele, będą zagadnienia natury zarówno militarnej, jak politycznej. Obecność po stronie angielskiej generała Sir Hastings Ismay'a dowodzi, że zagadnienia wojskowe będą rozważane. Sprawozdawca "*Sunday Times*" powiada /dn. 10.10./ że chodzi o uzgodnienie pochodu na Rzeszę. Zaznacza on, że polityka brytyjska wypowie się przeciwko jakimś "sferom wpływów," albowiem wszelkie takie podziały wywołałyby tylko wyścig o łaski takich czy innych narodów i doprowadziłyby w okresie powojennym do zamętu.

Pismo to, podobnie jak cała prasa londyńska z ub. tygodnia, stwierdza, że sprawa polska będzie znajdowała się na miejscu poczesnym. "*Sunday Times*" dodaje, że dyskutowane będą również sprawy bałkańskie oraz zagadnienie Persji /Iranu/.

Co do sprawy polskiej, to sprawozdawcy moskiewscy pism angielskich przedstawiają wyczerpująco stanowisko rosyjskie. I tak n.p. "*Sunday Times*" w korespondencji swojego sprawozdawcy moskiewskiego, Werth'a, wraca do teorii "silnej, ale przyjaznej dla Rosji Polski." Nie wiemy skąd ten sprawozdawca tak wiernie oddający poglądy Moskwy, ale niezbyt rzeczowy powziął przekonanie, że Polska okresu 20 lecia była wroga Rosji?

Są to hasła wpajane dzisiaj przez propagandę, przeciwko którym trzeba stanowczo zaprotestować. *Polityka państwa polskiego nacechowana była w stosunku do Rosji poprawnością co najmniej taką samą, jak polityka mocarstw zachodnich — a czasem o wiele większą.* Mieliśmy z Rosją układy wszelkiego rodzaju w dobie, kiedy państwa zachodnie nie miały żadnych /po dziś dzień Szwajcaria nie ma stosunków dyplomatycznych z Rosją, Holandia pomyślała o tym niedawno i t.d./. Trzeba to jasno mówić.

Podobnie teza, że jakiś kraj musi być "przyjazny" dla drugiego jest tezą zapożyczoną ze słownictwa Hitlera z doby przedmonachijskiej. Hitler głosił wtedy, że Czechosłowacja musi być "przyjazna Rzeszy" i że zmienić się musi nastawienie Czechów. Oczywiście zmiana taka dokonana być może tylko — drogą siły. No, a potem powołania rządu "życzliwego" dla danego kraju dyktującego już nie tylko politykę sąsiadowi, ale i sentymenty.

AKCJE NA WSCHODZIE

Na linii Dniepru nie widać większych zmian, natomiast *na południu Kaukaz został całkowicie oswobodzony przez Rosjan.* Było do przewidzenia, że Niemcy opuszczą skrawek Kaukazu. Ataki sowieckie idą teraz w kierunku Witebska. Wszystko wskazuje na to, że *wojska czerwone chcą odciąć północne skrzydło i że jeżeli napór sowiecki będzie duży, to wtedy Niemcy zmuszeni zostaną do cofania się z okręgu Leningradu.*

Doniesienia neutralne powiadają, że Niemcy opuszczają państwa bałtyckie. Niedawna ucieczka jednostki marynarki wojennej Rzeszy "Luetzow" z fiordów Norwegii komentowana była tak, że "Luetzow" ma osłaniać ewakuację wojsk niemieckich z Bałtyku drogą morską. Nie jest to wykluczone.

W związku z tym stanowisko Finlandii staje się coraz to bardziej niepewne. Jeżeli wojska niemieckie odejdą z pod Leningradu, to wtedy armia sowiecka na północy będzie mogła uderzyć na pozycje fińskie. Raporty jakie ogłasza prasa szwedzka wskazują, że Finlandia chce wydostać się z potrzasku niemieckiego, ale z drugiej strony inne niebezpieczeństwo powstrzymuje ją w tym kroku. Niewiadomo, czy Stany Zjd., które wydają się jedynym pośrednikiem w tej sprawie, nie zainteresują się losem Finlandii i czy nie zechcą w Moskwie postawić zagadnienia tego kraju.

AMERYKAŃSKIE "FORTECE" NAD POLSKĄ

Samoloty amerykańskie typu "latające fortece" dokonały najdalszego wypadu i zjawiły się nad Pomorzem oraz w Prusach Wschodnich. Bombardowały Gdańsk i Gdynię.

Przypuszczaliśmy już, że naloty alianckie sięgną niebawem Polski. Będą one szły zarówno od strony południa /ataki na Śląsk, który zamieniony został teraz niejako na okręg zastępczy Nadrenii/, oraz od północy. Fakt, że aparaty amerykańskie znalazły się aż tak daleko na północ i że po drodze zwalczyły tak olbrzymie "zasieki" powietrzne — niszcząc blisko 100 maszyn wroga w powietrzu — dowodzi, iż *sojusznicy dobierają się do ostatnich kryjówek niemieckich.* Uderzenia amerykańskie skierowane były przeciwko bazom okrętów podwodnych, przeciwko bazom floty oraz zakładom lotniczym.

Należy liczyć się z tym, że każdy miesiąc przynieść może nowe uderzenia i że *cały obszar Polski znajdzie się w zasięgu bomb sojuszniczych.* Jeżeli dodamy do tego fakt, że w miarę przybliżania się wojsk sowieckich lotnictwo czerwone będzie mogło uderzać z baz w Homlu, Kijowie czy Witebsku, to wtedy liczyć się musimy z tym, że zniszczenie Polski będzie duże i że natężenie wojny na wiosnę 1944 będzie szczególnie groźne dla naszych miast i przemysłu.

Jest to jeszcze jeden czynnik, który sprawia, że musimy patrzeć z troską na zbliżające się akcje. Wydawało nam się czas jakiś, że Polska, raz przeorana wojną, uniknie zniszczenia w dalszym jej ciągu. Dzisiaj zanosi się na to, że Kraj nasz będzie bity z powietrza, na skutek tego, że Rzesza przerzuciła wielkie ilości fabryk i zakładów przemysłowych do Polski i że zniszczenie wojenne może jeszcze wzrosnąć w miarę tego jak przybliżać się będzie linia frontu. *Polska może zmienić się na wiosnę 1944-ego w teren walk lądowych.*

Nie widać na razie bowiem, ażeby strategia niemiecka nakreśliła sobie jakąś linię oporu, chociaż źródła angielskie /"*Economist*" z dn. 2.10/ wskazują, że liczba jeńców przez cały czas odwrotu niemieckiego i parcia sowieckiego jest bardzo niska /30.000/. Niemcy wołają, że ich odwrót jest "majsterszytkiem odwrotu" i że "powiodło im się największe oderwanie się od wroga znane w historii." Nie sposób jednak wierzyć, ażeby wojska niemieckie zyskawszy lepsze stanowiska na całej niemal linii frontu, mogły się już *oprzeć* na okres zimy. Raczej należy się liczyć z dalszym spychaniem tych wojsk na zachód przez armię czerwoną.

W tych warunkach na wiosnę 1944 r. wojska niemieckie zmuszone być mogą do przyjęcia walk *na rubieżach Rzeczypospolitej* a wojna zawita do nas raz jeszcze.

Londyn, dnia 10 października 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

4 *października: Polskie dywizjony myśliwskie wykonały osłonę wypraw bombowych oraz dalekosiężne patrole ofensywne. Wszyscy piloci wrócili.*

5 *października: W nocy z 4/5 lotnictwo brytyjskie dokonało silnego nalotu na Frankfurt nad Menem.*

—Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz udekorował Wielką Wstęgą Orderu Polonia Restituta szefa brytyjskiego Sztabu Imperialnego gen. Sir Alan Brooke.

6 *października: Za wybitne zasługi oddane Polskim Siłom Zbrojnym Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz, w obecności Naczelnego Wodza gen. broni K. Sosnkowskiego i Ministra Obrony Narodowej, gen. dyw. M. Kukiela, dekorował Orderem Polonia Restituta 17 oficerów brytyjskich.*

—Polski dywizjon myśliwski rozpoznawczy przeprowadził loty patrolowe na rozpoznanie żeglugi nieprzyjaciela.

7 *października: Ogłoszono, że po pewnej przerwie, wojska sowieckie podjęły ofensywę na całym froncie od Witebska po półwysep Taman. Czerwona armia przekroczyła Dniepr w trzech miejscach.*

—Ogłoszono, że O.R.P. "Dzik" podczas patrolowania u wybrzeży Korsyki zatopił kilka statków niemieckich.

8 *października: W nocy z 7/8 lotnictwo niemieckie dokonało "propagandowego" nalotu na Londyn.*

—Polskie dywizjony myśliwskie wykonały osłonę wypraw bombowych i akcji ratowniczej na morzu oraz przeprowadziły dalekosiężny patrol ofensywny. Wszyscy piloci polscy powrócili.

9 *października: 6 polskich dywizjonów myśliwskich wykonało szereg akcyj bojowych: dwa wymiatania ponad terenami zajętymi przez nieprzyjaciela, osłonę wyprawy bombowej i dalekosiężny patrol ofensywny. Do starć nie doszło.*

Wojna na morzu

ZAMIAST DYSKUSJI

Ostatnia nasza kronika, omawiająca konieczność posiadania przez Polskę marynarki wojennej, wywołała szeroki oddźwięk. Oczywiście, wśród głosów rzeczowych i poważnych, znalazły się i stare komunały, w klasycznym rodzaju: "może Polak nie wiedzieć co morze, gdy pilnie orze."

Dyskusja na ten temat wydaje się zbyteczna. Nie ma dziś poważnie myślącego człowieka, który byłby przeciwny zagadnieniu obrony morskiej w Polsce. Tamtych innych nikt nie przekona, bo . . . niczego się już nie nauczą. Aby jednak utrącić raz na zawsze rozsiewanie szkodliwych dla Polski poglądów, pozwolimy sobie zacytować głos autorytatywny.

I to nie byle jaki! Powtórzymy bowiem dosłownie treść przemówienia, wygłoszonego w dniu 10 lutego 1939, z okazji przybycia do Polski "Orła." Przemówienia, które wygłosił obecny Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych, generał broni Kazimierz Sosnkowski.

"Musi być silnym nie tylko na lądzie, ale i na morzu naród, pragnący należeć do zespołu wielkich narodów świata, których wpływ i znaczenie sięga poza granice jednego kontynentu.

Silna flota wojenna jest ostoją, podwaliną wszelkich spraw morskich. Kto ma wybrzeże morskie, ten musi obronić je podczas wojny; kto posiada obszar słonej wody, ten musi podczas wojny bić się nie tylko na lądzie i w powietrzu, lecz również i na wodzie. Kto posiada flotę handlową, uprawia handel zamorski, kto dąży do uzyskania kolonii, ten musi pamiętać o konieczności osłony morskich linii komunikacyjnych, o bezpieczeństwie dowozu surowców i materiału wojennego.

Wśród dziewiętnastu państw europejskich, nasza marynarka wojenna zajmuje 13 miejsce pod względem cyfr absolutnych tonażu, ale obliczając stosunek tonażu do liczby ludności, ujrzymy Polskę z jej flotą na szarym końcu.

W tym stanie rzeczy sprawa rozbudowy naszej niewielkiej, a tak dzielnej i sprawnej marynarki wojennej wysuwa się na jedno z czołowych miejsc wśród ważkich i pilnych zagadnień państwowych. Chodzi nie tylko o zakres tej rozbudowy, lecz również o jej tempo, dotychczas zbyt powolne. Ustalenie, a następnie konsekwentne wykonywanie planu zbrojeń morskich, znakomicie ułatwić może okoliczność, że gdyńska stocznia marynarki wojennej, już w ciągu roku bieżącego będzie zdolna rozpocząć budowę okrętów z polskich materiałów i rękami polskiego robotnika.

Jest rzeczą aż nadto jasną, że flota wojenna nie może powstać ze składek społeczeństwa.

Realnie ujmując sprawę, morskie siły zbrojne Polski powstać mogą i powstać powinny w drodze świadczeń z budżetu lub z dochodów nadzwyczajnych Państwa. Miałem niedawno przed oczyma cyfry, zestawione dla 14 państw, ilustrujące, ile płaci jeden obywatel kraju na obronę morską. W wykazie tym Polska figuruje na ostatnim miejscu z kwotą 1.25 zł. na głowę ludności rocznie. Analogiczna kwota wynosi dla Łotwy 4 złote, dla państw skandynawskich 8 złotych, dla Finlandii i Danii 10 złotych. Tak więc wydatki na obronę morską nie obciążają dotychczas zbytnio polskiego podatnika, względnie stanowią nikły odsetek w budżecie Państwa.

Panie Admirale! Uważam za dobry znak, że przybycie nowego okrętu Rzeczypospolitej do kraju nastąpiło w dniu dorocznego święta Marynarki Wojennej — w rocznicę objęcia przez Polskę wybrzeża morskiego.

Znamy wszyscy, Panie Admirale, Pańską wysoką kompetencję i Pańskie gorące umiłowanie sprawy, której Pan służy. Na ręce Pańskie składam życzenia, aby polska Marynarka Wojenna rosła szybko w siły, otoczona miłością i szacunkiem całego Narodu.

Okrętowi podwodnemu "Orzeł" życzę, aby w swej ciężkiej i zaszczytnej służbie okazał się godnym imienia wielkiego Marszałka i spełnił nadzieje, jakie pokłada w nim społeczeństwo.

Niech żyje Rzeczpospolita niech rośnie Jej potęga na morzu!"

Tak! "Orzeł" spełnił swój obowiązek. I może nawet nieco więcej, niż sam obowiązek wymagał. Spełniła też obowiązek Polska Marynarka Wojenna, w granicach możliwości. Marynarzom z tego powodu wcale nie przewróciło się w głowie, choć są jedynymi wśród polskich kombatantów, którzy ani na chwilę walczyć nie przestali. I to w warunkach z pewnością gorszych niż w innych częściach Sił Zbrojnych.

Ale właśnie dlatego bolą ich stare naleciałości, nierzeczowy stosunek do spraw obrony morza, niedocenianie lub ignorowanie wagi ich dziedziny. I dlatego przydało by sie, aby poglądy na Marynarkę Wojenną były mniej sentymentalne, a bardziej rzeczowe.

Z wielką rezerwą należy przyjmować plotki dziennikarskie o rzekomych buntach we flocie niemieckiej. Mogą one być rozsiewane umyślnie przez wywiad nieprzyjacielski, tak jak w r. 1939 słynne plotki o rewolucji w Niemczech, zamachu na Hitlera, sforsowaniu Linii Maginota w 14 punktach przez Francuzów i t.d. Nieprzyjacielowi może zależeć na wprowadzaniu w błąd czy to opinii publicznej czy sfer wojskowych.

W czasie bombardowania Gdyni i Gdańska przez samoloty amerykańskie zatopiono podobno 4 transportowce i kilka mniejszych jednostek. Arsenał i stocznie zostały wielokrotnie trafione. W Gdyni miały się znajdować okręty wojenne niemieckie: "Scharnhorst," "Prinz Eugen" i "Emden."

Na Morzu Czarnym Niemcy ostatecznie opuścili Kubań, przeprawiając się na zachodnią stronę Kerczu. Sowieckie siły morskie — zgodnie z komunikatami obu stron — brały żywy udział w natarciu na Taman.

PARĘ SUCHYCH FAKTÓW

Brytyjska Flota Macierzysta dokonała dalekiego wypadu na wody Północnej Norwegii. W okolicach Bodö zniszczono kilka statków nieprzyjacielskich, w tym duży transportowiec z ropą. Operacja niewątpliwie była związana z ukrywaniem się niemieckich okrętów ciężkich we fiordach między Bodo a Nord-Cap.

Operacja floty macierzystej poprzedzona była akcją miniaturowych okrętów podwodnych przeciwko pancernikowi "Tirpitz" w Altenfiordzie. Pancernik został uszkodzony, 3 łodzie podwodne nie powróciły. Charakterystyczne, że dowódca jednego z tych miniaturowych okręcików był porucznik *Royal Navy* Basil Place, który w 1942 roku otrzymał polski "Krzyż Walecznych" za kampanię na O.R.P. "Sokół," gdzie służył w charakterze oficera łącznikowego.

Z ośmiu pancerników włoskich — dwa "Impero" i "Cavour" są w rękach Niemców, trzeci — "Roma" został przez nich zatopiony. Pozostałe pięć szczęśliwie przybyły do portów brytyjskich. Ogólna ilość okrętów włoskich, które przeszły na stronę Sprzymierzonych wynosi około 150. Wątpliwe jednak, aby rychło mogły być użyte do walki.

Amerykanie martwią się, że produkcja statków w St. Zjednoczonych spadła we wrześniu. Rzeczywiście — zamiast 164 zbudowali tylko . . . 160. Możemy ich pocieszyć, że wrzesień ma o jeden dzień mniej od sierpnia. Ci Amerykanie twierdzą, że nadpancernik "North Dakota" zestrzelił pod Salomonami 32 samoloty japońskie i zatopił 3 krążowniki. Ponieważ pancernik "żyje" dopiero kilka miesięcy — jest to rekord nielada.

We wrześniu — według oficjalnych komunikatów niemieckich — okręty podwodne Doenitza miały zatopić 17 kontrtorpedowców i 88.700 ton statków handlowych. Inna wersja /Deutsches Nachrichten Büro/ podaje cyfrę 55 statków handlowych o pojemności ogólnej 315.700 ton. Wreszcie trzeci komunikat twierdzi, że z jednego tylko konwoju zatopiono 12 kontrtorpedowców i 3 statki handlowe!

Coś się widać psuje w państwie Hitlera skoro nawet propaganda zawodzi. Radzimy aby cyfry odpowiednio uzgadniać zawczasu. Bo nawet karni "S.S.-Mann'i" gotowi nie uwierzyć.

NOWE BRONIE I NOWA TAKTYKA

Po kierowanej teleelektrycznie torpedzie powietrznej, którą Niemcy podobno zatopili pancernik "Roma" —przyszła kolej na nową torpedę podwodną. Nie wiadomo jeszcze czy jest również kierowana teleelektrycznie, czy też jest udoskonaloną torpedą normalną. Równocześnie niemieckie okręty podwodne zmieniły taktykę — atakując wpierw eskortę konwoju, a po jej zniszczeniu — bezbronny konwój.

Okazało się jednak, że w konwoju, z którego Niemcy mieli zniszczyć 12 kontrtorpedowców i 9 statków /a kilka innych uszkodzić/, zatonęły w istocie: 1 stary kontrtorpedowiec, 2 kanonierki i 5 statków handlowych. To też jeden z oficerów brytyjskich oświadczył: — Jeśli po czterech miesiącach usilnego "przezbrajania" Niemcy nie są w stanie osiągnąć nic większego, to damy im radę.

Tym niemniej nie należy lekceważyć niebezpieczeństwa. Niemcy rozpoczęli ofensywę przeciwko kontrtorpedowcom Sprzymierzonych — uniwersalnym okrętom "do wszystkiego," a największym wrogom korsarzy podwodnych. Należy więc oczekiwać strat w tej klasie okrętów. Ostatnio H.M.S. "Intrepid" i grecki kontrtorpedowiec "Vasilissa Olga" padły ofiarą nieprzyjaciela.

Niemieckie okręty podwodne otrzymały też wzmocnione uzbrojenie przeciwlotnicze. Ostatnio jeden z nich zestrzelił dwa "*Liberator'y.*" Cóż z tego kiedy trzeci samolot zatopił korsarza.

Jeszcze jeden dowód, że nie ma takiej broni, na którą z czasem nie wynaleziono by tarczy. I dopiero idealne zgranie wszystkich środków strategicznych i taktycznych dać może w rezultacie zwycięstwo.

W ubiegłej wojnie Niemcy wymyślili: moździerz 420 m/m /Grubą Bertę/, armatę strzelającą na 135 km. /Paryżankę/, gazy bojowe, dalekomorskie okręty podwodne, Zeppeliny i ciężkie bombowce. To wszystko razem nie dało im jednak zwycięstwa, bo . . . Sprzymierzeni panowali na morzu!

Żelazne kanony strategii są wciąż ważne — nawet dziś, w dobie cudów nowoczesnej techniki.

POLSKIE OKRĘTY PODWODNE

Polskie okręty podwodne "Sokół" i "Dzik" wyróżniły się wybitnie w czasie ostatnich operacji na wodach włoskich. "Dzik" operując na drodze ewakuacji niemieckiej między Korsyką a kontynentem zatopił 2 transportowce i 3 promy typu "Siebel" a nadto storpedował jeszcze jeden statek transportowy i ropowiec średnich rozmiarów. Istnieje przypuszczenie, że i te dwa ostatnie zatonęły.

Operacje "Sokoła" nie mogą być jeszcze podane, ale i ten okręt podwodny wykonał szereg ciekawych zadań, uwieńczonych pomyślnym skutkiem.

JULIAN GINSBERT

Spotykam was wszędzie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Nalewając kubki kawy po kantynach, biegnąc na Uniwersytet jednakowymi ulicami amerykańskimi — wypatruję, stęskniony cywil, waszych mundurów z orzełkami. Kulawą niemczyzną tłumaczę Holendrom, gdzie jest świetlica; jakimś niebywałym *volapükiem* wyjaśniam Norwegom, który tramwaj zawiezie ich do muzeum franklinowskiego; pół po francusku, pół po angielsku układam rendez-vous francuskich marynarzy i mówię Anglikom, w jakich kinach są filmy warte widzenia. I czekam, nie tracąc nadziei, że z tego różnojęzycznego tłumu wychynie znagła furażerka zbakierowana z fantazją, furażerka z orzełkiem.

Słuchy chodzą, że w Nowym Jorku i w amerykańskich miastach portowych tyle teraz różnorakich mundurów się kręci, co na Piccadilly. Ale od czasu przyjazdu francuskiego pancernika "Richelieu" do Nowego Jorku, a krążownika "Montcalma" do Filadelfii — zrobiła się tu specjalna moda na Francuzów. Jak kwakrzy kwakrami dawno już Filadelfia takiej wylewności nie widziała. Lady sklepowe "*department stores*" — tutejsi Bracia Jabłkowscy — spiętrzyły się tanimi *Frenchees*, naśladującymi berety marynarzy z "Montcalma," właściciele restauracji przykładali cudzoziemskim gościom dodatkowe porcje masła do obiadów; ludzie po ulicach otaczali grupki Francuzów kołem, zapraszając ich do swoich domów, ofiarowując "*souveniry*," biorąc na obiad czy na *cocktail*; dziewczęta ubiegały się o odznakę "Montcalma" i uczyły pośpiesznie "najpotrzebniejszych" do czegoś francuskich zwrotów.

Z tym to było najwięcej kłopotu. Wszyscy marynarze, jak wiadomo, mają w każdym porcie narzeczoną, a co dopiero Francuzi. "Co dopiero" dlatego, że Francuzi mają w Ameryce opinię wielkich zbereźników /co tłumaczyć można chyba tylko tym, że wszyscy turyści amerykańscy obowiązkowo pielgrzymują do co gorszych kabaretów paryskich, wielce przez to szkodząc własnej bogobojności/. Dziewczęta amerykańskie jednak, z prawdziwie pionierską odwagą, odziedziczoną po przodkach — nie zlękły się francuskiego niebezpieczeństwa, ani się przed nim nie cofnęły. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie podczas wieczorów spędzonych w kantynach U.S.O. /*United Service Organizations*/, jako wierna i możliwie taktowna tłumaczka. Czasem to było dosyć trudne, jak na przykład . . . Ale nie o tym mowa.

Któryś z moich wielu wujów zwykł mawiać: *Rappellez vous mes enfants, que chaque bonne action est toujours punie*! Siostry Zwartwychwstanki jednak, którym w udziale przypadł wątpliwy przywilej kształcenia mego charakteru, wyuczyły mnie pieczołowicie, że każdy dobry czyn jest zawsze nagrodzony. I jestem skłonna im wierzyć, bo gdy, postękując nieco /*mea culpa*! . . ./, urwałam te parę godzin dla Francuzów z mego natłoczonego już i tak po brzegi tygodnia — niespodziewanie spotkałam was. I od tej pierwszej rozmowy, kiedy René L. zapytał:

—*Une Française*? . . .

—Nie. Polka.

—O . . . Byłem w obozie jenieckim w Niemczech z Polakami . . .

Od tej pierwszej rozmowy spotykałam was wszędzie.

Właściwie przedtem jeszcze, jeszcze nim spotkałam was z obozów jenieckich w Niemczech i was, z Francji, i was z pod Narviku i z Anglii — natknęłam się na moją rówieśniczkę polską. To spotkanie było niespodziewane i wstrząsające.

Opowiadał mi o niej podoficer Louis D., jeden z byłych jeńców niemieckich. Na imię jej było Hanka. Miała jasne włosy i śmiertelnie zmęczone oczy. Przywieziono ją do Niemiec, na roboty, z Warszawy. Louis widział ją często, szorującą podłogi, wpół zgiętą pod ciężarem kubłów, taszczącą wielkie sagany. Mówił o niej z nieosobistą czułością, jak o kruchym przedmiocie, zapewne już dotąd roztrzaskanym, jak o pięknej, rasowej klaczy, zagnanej na śmierć.

Armand był w innym obozie. Gdy ich tam przywieziono, zastali w obozie 300 Polaków, dobiegających końca pierwszego roku niewoli. Armand *est un bon viveur*. Armand, z zawodu kelner, lubi się cieszyć życiem i woli nie pamiętać o nieprzyjemnych stronach tegoż. Armand nauczył się nawet tańczyć po amerykańsku, *to jitterbug* — jeden z niewielu Francuzów. *Jitterbugging*, rodzaj rytmicznych drgawek, nie nadaje się do opisania. Francuscy marynarze przyglądali się nieufnie Amerykanom tańczącym w świetlicy.

—Czy to pierwszy raz widzi pan *jitterbugging*? — zapytałam René L.

—O nie — odpowiedział — widziałem to już w Dakarze. Tam Murzyni tak tańczą.

Armand wrócił do swego stolika i otarł rzęsisty pot z czoła. Powinszowałam mu szybkiego dostosowania się do zwyczajów amerykańskich.

—*Que voulez-vous, Mademoiselle*? — uśmiechnął się. — Życie jest za krótkie, żeby się nim nie cieszyć. Ja lubię żyć przyjemnie. A nam przed przyjazdem tutaj zabroniono tańczyć. "Żałoba narodowa" — powiedzieli nasi oficerowie. Et, gwiżdżę na żałobę narodową . . . *On peut toujours s'amuser, quoi*!

Armand niewiele chciał mówić o obozie jenieckim.

—Drugiego roku w tej przeklętej dziurze jużbym chyba nie przetrzymał! — wzdrygał się. — Zimno, głodno i paskudnie. Kiedy zachorowałem i wzięli mnie do szpitala /"wzięli" t.zn. musiałem pójść na piechotę 16 km., a gdyby mnie odesłano z powrotem do obozu, zostałbym ukarany/, przeleżałem 40 dni. Komendant szpitala przychodził co rano na inspekcję. Kiedy ryknął: "*Achtung*!" ci, co mogli stać, mieli stać na baczność koło łóżek, leżących macał po kołdrach czy stopy są zestawione "na baczność" . . . W sam czas nas zwolnili. Niewielu z nas mogło by wytrzymać drugi rok w obozie jenieckim . . .

—A Polacy? — zapytałam. — Czy ich traktowano lepiej, niż was?

Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

—*Mademoiselle*! — powiedział sztywnie i uroczyście. — Dla nas to było piekło. Ale jeśli jest w ogóle coś gorszego, niż piekło, to Polacy tam właśnie są w obozach jenieckich . . .

Zirytował mnie trochę swoją solennością.

—No, więc . . . — powiedziałam — a jednak żyją i nie tracą nadziei i wyżyją. A pan mówił . . .

Armand wzruszył ramionami.

Jasnowłosej Hanki z Warszawy nie zapomnę i tylko dzięki niej pamiętam mgliście, jak wyglądał podoficer Louis D. i dzięki tej ziejącej dziurze po dwóch wybitych z górnej szczęki zębach, pamiątce z obozu jenieckiego. Ale René już niebardzo pamiętam, a z Armand'a przypominam sobie dokładnie tylko to ostatnie wzruszenie ramion sumujące jego niezrozumienie.

Pamiętam za to dobrze Roberta S. Przyszedł na obiad do świetlicy z ostatnią zmianą. Wieczór był dosyć ruchliwy. Podałyśmy przeszło 800 obiadów. Rozniosłam ostatnie desery i ostatnie kubki kawy i podeszłam do Roberta z papierosami.

Robert ma dwadzieścia lat. O, przepraszam, dwadzieścia "i pół." Przed wojną mieszkał w miasteczku o 60 km. od Lourdes i był piekarzem. Był także, o ile mogłam wyrozumieć, bardzo uczciwym komunistą, to znaczy gotowym zmienić zdanie, jeśli mu kto pokaże coś lepszego, i jeśli mu kto dowiedzie, że ustrój sowiecki jest zły. W międzyczasie piekł bochny chleba, kształcił się na "*Humanité*," i nie cierpiał Polski za jej "faszyzm," a zwłaszcza za "wbicie noża w plecy Czechosłowacji." Kiedy dowiedział się, że miałam okazję spędzić dwa tygodnie pod okupacją sowiecką, zainteresował się niezmiernie i zaczął mnie wypytywać czy była lepsza od niemieckiej, jak się Rosjanie zachowywali, czy prześladowali religię, i tak dalej, i tak dalej. Odpowiadałam całkiem prawdomównie, bo przesada byłaby zupełnie niepotrzebna.

Robert słuchał uważnie. Potem, nagle, pozornie bez związku, powiedział:

—Byłem z Polakami w Norwegii . . .

—Narvik?

Kiwnął głową i nawiązał do mego opowiadania:

—Dlatego rozumiem to wszystko, co pani mi mówiła, i nawet wierzę temu — powiedział. — Widzi pani, ja inaczej teraz o Polsce myślę, po tych trzech latach wojny. Był czas, że nią gardziłem za jej nacjonalizm, za Czechosłowację, za jej wrzaskliwość dobijającą się uznania jej wielkości, która — *mon Dieu*! — nawet i teraz, taka jak była, nie wydaje mi się specjalnie ważna. Kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, zaciągnąłem się tego samego dnia na ochotnika do marynarki, nie żeby bronić Polski, i nie żeby bronić Gdańska — ale żeby się iść przeciw Szwabom. Polska wojna skończyła się i myślałem wtedy, że miałem słuszność w tym, co myślałem o Polsce. Ale, proszę pani, ja zmieniłem teraz swoje zdanie zupełnie. Wyście przecież walczyli dłużej, niż my, i w gorszych warunkach. I nie macie polskiego Laval'a. I widziałem polskich żołnierzy w Norwegii, i już wtedy, jeszcze nim Francja upadła, zmieniłem swoje zdanie o Polsce, bo zrozumiałem, że ludzie, którzy tak walczą, muszą walczyć dla jakiejś istotnej wielkości, której my może nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Było tam pośród nich wielu kilkunastoletnich chłopców, młodszych ode mnie. Żaden z nich nie znał lęku. Jak się ich widziało biegnących z granatem w jednym ręku, z bagnetem w drugim — nie było Niemca, któryby się ich nie uląkł.

—Wtedy, w Norwegii, zrozumiałem cenę Polski, o którą się ci ludzie bili. A gdy przyszła klęska Francji, przypomniałem sobie waszą bitwę pod Kutnem, i obronę Modlina i Warszawy, waszą Westerplatte, oficjalne dane niemieckie o stratach w Polsce — i odtąd, cokolwiek by się nie zdarzyło, jestem za Polską. Nawet w konflikcie polsko-rosyjskim.

—Dlaczego "nawet"? — zapytałam. — W tej sprawie może pan być z całą pewnością po stronie polskiej!

Wtedy Robert zapytał mnie o to, o co sama siebie niebardzo miałam odwagę zapytać przez ostatnie miesiące:

—Czy wolałaby pani widzieć Polskę po tej wojnie, niepodległą, ale bez ziem wschodnich, czy też myśli pani kategoriami: wszystko albo nic?

Odpowiedziałam uczciwie, tak jak wydawało mi się, że myślałam:

—Polska nie byłaby Polską bez ziem wschodnich, Robert. Gdyby się miała wyłonić z tej wojny jako nieporadna i słaba, niedokłuta poczwarka — wolałabym, żeby się wcale z tej wojny nie wyłoniła. Bo jestem pewna, że kiedyś wróci taka jaka była, i wolę na to czekać choćby długo, choćby bardzo długo, niż zadawalać się okrawkami. Wolę czekać na Polskę choćby do przyszłego pokolenia. Dotąd, dopóki nie wróci, kiedykolwiek by to było.

Robert rozerwał na czworo papierową zapałkę z żółtym łebkiem. Uśmiechnął się do mnie niespodziewanie i znowu powiedział pozornie bez związku:

—Widziałem Polaków we Francji, po upadku Polski; widziałem ich w Norwegii, i kiedy musieliśmy się stamtąd ewakuować; widziałem ich w Bordeaux po upadku Francji; widziałem ich w Afryce, i w Anglii, i w Ameryce. Spotykam was wszędzie. I wszędzie wam zazdroszczę. Widziałem was w dobrych i w złych chwilach; w wielu złych. I nigdy nie słyszałem od żadnego Polaka jednego słowa zniechęcenia, nigdy nie spotkałem żadnego, któryby przestał wierzyć i stracił nadzieję, i stracił wolę do walki. Zazdroszczę wam tego. We Francji jest inaczej. Może dlatego, że nigdy nie było nam tak źle, jak teraz. A może dlatego . . .

Nie dokończył, ale mnie stanęło przed oczami, jak dokończenie słów Roberta, jedno zdanie z listu z Francji: "Wolę żyć na ziemi niemieckiej, niż leżeć we francuskiej!"

—Czy pani nigdy nie traci nadziei? — spytał Robert.

Spróbowałam otrząsnąć lekką nutę histerycznego patosu uśmiechem.

—Oczywiście, że nie. "Póki życia, póty nadziei" — zacytowałam.

Robert spojrzał na mnie poważnie.

—Zobaczy pani — powiedział — My jeszcze będziemy tacy jak wy. Ta wojna zrobi nam wiele dobrego. Zobaczy pani. De Gaulle pogodzi się z Giraud. A my wszyscy będziemy tak wierzyć i tak się bić, jak wy.

Następnego dnia gazety przyniosły wiadomość o afrykańskim pojednaniu. Dlatego zapamiętałam Roberta i rozmowę z nim, i miło mi myśleć, że może, a nuż, rzeczywiście jesteście takimi, w jakich on uwierzył. Bo inaczej przecież chyba nie spotykałabym was wszędzie, godnych kraju, do którego się dzięki was szczerze nawrócił czerwony a uczciwy piekarczyk francuski.

MARTA WAŃKOWICZÓWNA

Dekoracja oficerów brytyjskich



W dniu 6 października b.r. w gmachu Ambasady R.P. w Londynie odbyła się uroczystość dekoracji 17 oficerów brytyjskich Orderem "Polonia Restituta." Aktu dekoracji dokonał Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz w obecności Naczelnego Wodza gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego i Ministra Obrony Narodowej gen. dyw. Mariana Kukiela.

Wśród oficerów udekorowanych insygniami Orderu "Polonia Restituta" 2.kl. znajduje się m.in. generał dywizji Sir George Cory, który przez trzy lata zajmował stanowisko Inspektora Generalnego Wojsk Sprzymierzonych w W. Brytanii. Gen. Cory jest starym żołnierzem, weteranem wojny afrykańskiej. Podczas pierwszej wojny światowej był m.in. Szefem Sztabu armii brytyjskiej na Bałkanach, a później dowodził Korpusem na Kaukazie.

Od pierwszej chwili, gdy nasze wojska znalazły się w W. Brytanii Sir George otoczył je jak najbardziej serdeczną opieką, popierając gorliwie wszystkie sprawy, tyczące pilnych potrzeb wyekwipowania i uzbrojenia. Okiem starego żołnierza ocenił, że te szczątki, po części niezorganizowane, naszej armii stanowią doskonały element żołnierski, a bardzo rychło serdecznie pokochał Wojsko Polskie. W czasie niezliczonych inspekcyj lubił gawędzić z naszymi żołnierzami, dopytywać się o ich przeszłość i przeżycia. Wkrótce między tym weteranem brytyjskim, a dużo młodszymi weteranami polskimi zadzierzgnął się węzeł prawdziwego braterstwa broni. Żegnaliśmy go z głębokim żalem, gdy z powodu wieku odszedł w stan zasłużonego spoczynku, ale przyjaźń między nim a Polską pozostała. Obecne odznaczenie jest oznaką trwałej wdzięczności Rzeczypospolitej.

Brygadier H. M. Peto odznaczony Orderem "Polonia Restituta" 3.kl. dowodził dywizją na froncie afrykańskim w okresie, gdy walczyła tam Brygada Karpacka. Wielokrotnie oddawał on oddziałom polskim cenne przysługi i okazywał jak najgłębszą sympatię dla Polaków, z którymi związało go braterstwo broni. Obecnie brygadier Peto objął stanowisko Szefa Misji Łącznikowej przy Wojsku Polskim w W. Brytanii. Na tym stanowisku witamy go, jako starego przyjaciela.

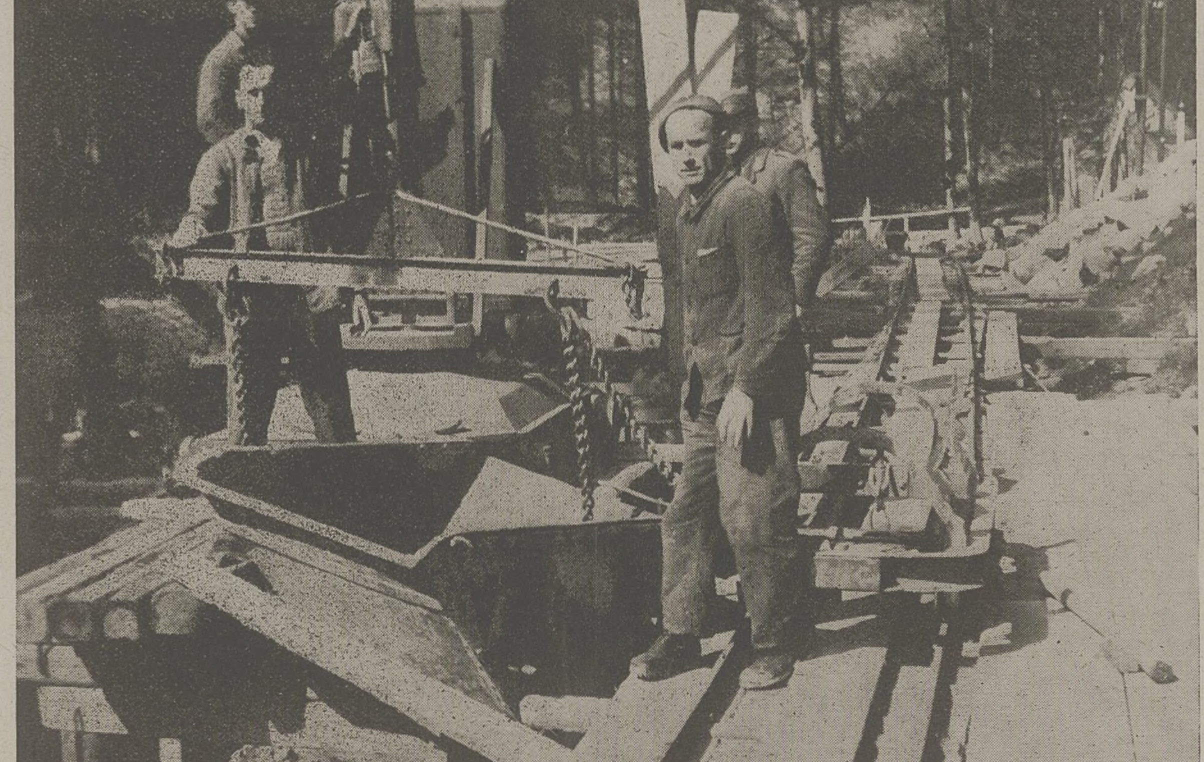
Major C. Bryson, odznaczony Orderem "Polonia Restituta" 4.kl. od pierwszej chwili naszego pobytu tutaj współpracował w składzie Misji Łącznikowej z naszymi wojskami w Szkocji. Nauczył się on doskonale naszego języka, był życzliwym i mądrym doradcą i przewodnikiem w wielu trudnych sprawach. Później — wysłany na Wschód do armii gen. Andersa — oddał nieocenione usługi przy ewakuacji wojska i ludności cywilnej z Rosji do Iranu. Jest on autorem niezwykle życzliwego dla nas artykułu o Polskich Siłach Zbrojnych, drukowanego zeszłego roku w "Army Quarterly" /por. nr. 47 "Polski Walczącej" z ub.r./. Był i jest nadal naszym oddanym przyjacielem.

Major T. E. Withington, odznaczony Orderem "Polonia Restituta" 4.kl. był oficerem Attachatu Brytyjskiego w Paryżu. Kierował on w St. Jean de Luz załadowaniem naszego wojska. Gdy burza przerwała ładowanie, gdy wojska niemieckie zbliżały się, gdy Francuzi żądali ewakuacji portu i odpłynięcia eskadry brytyjskiej, a kilka tysięcy naszych żołnierzy czekało na załadowanie i parę batalionów nadciągało jeszcze forsownymi marszami — na skutek starań majora Withington'a udało się przedłużyć całą operację aż do południa 25 lipca, t.j. do momentu objęcia portu przez komisję niemiecką. Dzięki temu ocalało parę tysięcy żołnierzy polskich, w tym Szkoła Podchorążych z Coëtquidan i 2. Batalion Czołgów. Major Withington bez wytchnienia kierował załadowywaniem wojska i nie opuścił swego posterunku przez kilka dni i nocy wśród burzy i ulewy. Mamy wobec niego szczególny dług wdzięczności.

Reprodukowane zdjęcie przedstawia generała Cory w chwili dekoracji.

Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu

W kopalni szwajcarskiego antracytu



VI. W CHANDOLINE*

Gwar wczesnego poranka wraz z promieniami słońca wdziera się do pokoju "Hôtel du Cerf" w Sion. Sion jest stolicą kantonu Valais. Do miasta wiedzie od Sierre szeroka droga wysadzana pięknymi, wysokimi topolami. Te strzeliste topole, których pełno w całej dolinie Rodanu, są szczególnie typowe dla krajobrazu okolic Sion. Gdy patrzy się na miasto z poza Rodanu, topole rosnące po drugiej stronie rzeki, sięgają swymi wysokimi koronami linii horyzontalnej przeciwległych szczytów alpejskich. Między nimi otwiera się widok na dominujące nad Sionem dwa malownicze wzgórza. Na jednym z nich rozsiadły się mury obronne i ruiny starego zamku Tourbillon z końca XIII wieku; tuż obok, na drugim wzgórzu, wznoszą się wysokie mury kościoła Valeria, ongiś również fortecy. Podobnych wzgórz z ruinami zameczków, starych baszt i fortyfikacji jest sporo na drodze od Sion do Martygny. Sam Sion /Sitten/ szczyci się również wielu pomnikami odległej przeszłości: niezatartymi napisami, pamiętającymi czasy rzymskie, katedrą wzniesioną na pozostałościach pogańskiej świątyni, frontonem średniowiecznego ratusza . . .

Schodząc w dół, do mostu nad Rodanem, zapytuję o kopalnię węgla Chandoline, cel mojego przyjazdu do Sion.

—*Descendez jusqu'au Café du Pont et après suivez le canal.*

—*Grand merci. Est-ce-que c'est loin?*

—*C'est tout près.* W dziesięć minut będzie pan na miejscu — informuje mnie uprzejmy młody człowiek, rozcierając stłuczone kolano, bo przed chwilą zderzył się na zakręcie z rowerem chłopca z jakiejś miejscowej *boulangerie*.

Idę wzdłuż kanału i myślę, że przecież nie trudno będzie rozpoznać taki obiekt przemysłowy, jak kopalnia, tym bardziej, że po drugiej stronie rzeki nie widać żadnych zabudowań. Przypominają mi się kopalnie węgla kamiennego w naszych zagłębiach. Z daleka już widziało się wieżę szybową z charakterystycznymi kołami linowymi, z których biegnie lina do budynku mieszczącego maszynę wyciągową. W Polsce do pokładów węgla trzeba zjeżdżać windą w dół na głębokość przeciętnie 300 do 400 metrów, a niekiedy nawet 700 m; stąd wieża szybowa i budynek z mechanizmem wyciągowym należą do podstawowych urządzeń kopalni. Obok wznoszą się nie mniej charakterystyczne dla polskiej kopalni, wysokie kominy fabryczne, no i oczywiście — nieodłączne hałdy, tworzące niekiedy znaczne, czasami dymiące, czarne wzgórza.

Niczego podobnego nie dostrzegam zbliżając się do kopalni szwajcarskiego antracytu w Chandoline. Szwajcarskie kopalnie węgla, uruchomione w czasie wojny, nie posiadają szybów, ale sztolnie, biegnące poziomo od podnóża góry, kryjącej w sobie czarny skarb. Można by je porównać z naszą sztolnią "Czartoryskich" w Olkuszu. Sztolnia — to po prostu tunel przebity w głąb góry, od którego rozchodzą się chodniki w kierunkach, gdzie zalegają pokłady węgla. Górnicy mówią w swoim technicznym języku, że "chodnikiem jedzie się za węglem." Eksploatacja węgla nazywa się w tym języku "odbudową," zapewne dlatego, że po wybraniu węgla z komór, t.zw. "filarów," trzeba je później zasypać, aby nie zawalały się i nie powodowały zaburzeń terenowych na powierzchni. W Polsce zasypywano "filary" najczęściej piaskiem, w Szwajcarii zasypuje się je kamieniem.

Pokłady węgla w Szwajcarii są w ogóle ubogie i w normalnych czasach eksploatacja ich jest nieopłacalna. Wojna zamknęła jednak dowóz węgla zagranicznego, który Szwajcaria otrzymywać może tylko w skąpych ilościach z Niemiec, w zamian za drogą rekompensatę w postaci wywozu swych naturalnych produktów. Jak dla samowystarczalności żywnościowej musiano chwycić się trudnych i kosztownych prac zdobywania nowych terenów pod uprawę, podobnie sięgnięto też do eksploatacji wszystkich odkrytych złóż węglowych, mimo, że przed wojną eksploatacja ta nie opłacała trudu.

Największą użyteczność wśród tych złóż posiadają pokłady węgla brunatnego, ale te są w Szwajcarii nieliczne i niemal na wyczerpaniu; 7 niewielkich kopalń tego węgla, które uruchomiono /największe znaczenie posiadają przedsiębiorstwa w Kandergrund i Gottshalden/, wydobyły w styczniu 1942 r. łącznie, zaledwie 1.500 ton. Znacznie rozleglejsze od węgla brunatnego, ale też i uboższe pod względem wartości opałowej, są pokłady antracytu w Valais, eksploatowane w 1942 r. przez 12 kopalń, które w styczniu 1942 r. wydobyły łącznie 7.500 ton. Wreszcie trzeci rodzaj pokładów paliwa — to zbliżony do torfu węgiel łupkowy /*Schieferkohle*/, znajdujący się prawie wyłącznie w złożach Zell-Gondiswil, gdzie w styczniu 1942 wydobyto 2.500 ton.

Antracyt w Valais występuje w wielu miejscach u podnóży gór, biegnących wzdłuż lewej strony Rodanu i tworzy szereg geologicznie zbadanych pokładów ginących gdzieś w okolicach wielkiego St. Bernarda. Cechą charakterystyczną tych pokładów jest ich nieregularne zaleganie. Od nie nadających się do eksploatacji warstw poniżej 25 cm, rozszerzają się one niekiedy do 3 m, tworząc t.zw. "soczewki" albo "kieszenie." Ta nieregularność pokładów powoduje właśnie trudność i kosztowność eksploatacji. Ale nie tylko to. Antracyt w Valais posiada nie najlepszą wartość opałową, wynoszącą 4,5 do 5,5 tysięcy kalorii /zależnie od pokładu/ przy 20 do 35% popiołu, gdy wartość opałowa antracytu zagranicznego wynosi 6 do 8 tysięcy kalorii przy zawartości popiołu około 5%. Najlepsze ze znanych, antracyty angielskie, posiadają około 9 tys. kalorii i 2 — 4% popiołu.

Pośród 12 kopalń eksploatujących pokłady antracytu w Valais, największą i najważniejszą jest kopalnia w Chandoline, gdyż ona jedna dostarcza ponad 50% ogólnego wydobycia.

* * *

Szukam więc, idąc wzdłuż kanału, największej szwajcarskiej kopalni węgla i dziwię się, że nie widzę szybu, kominów i hałd. Wreszcie jednak wyłania się jakieś drewniane rusztowanie: kilkanaście skrzyżowanych bali i desek. Obok przy drodze dojazdowej czerni się niewielki wał, może na metr wysoki. Węgiel? Nie. Czarny, lśniący łupek, który wprawne oko musi odróżnić od węgla i odrzucić przy sortowaniu. Jest hałda, musi być i kopalnia.

Zbliżam się do zaprószonego czarnym pyłem placu, na którym stoi drewniane rusztowanie i widzę już czarny otwór tunelu, z którego właśnie wysuwa się mały wózek naładowany węglem. Paru ludzi pracuje na placu. Głosem pełnym rozczarowania pytam nieśmiało jakiegoś robotnika, który wydawał mi się najstarszym na placu:

—Czy tu kopalnia Chandoline?

—*C'est ça.* Ale to jest "chantier" boczny. Główna sztolnia znajduje się tam.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i o jakieś 200 m dojrzałem nieco więcej pokrzyżowanych słupków i desek i zarysy jakichś daszków. Za chwilę jestem na miejscu przy głównej sztolni. Trzecia sztolnia buduje się nieco dalej.

To, co wydawało mi się rusztowaniem, niemal kupą pozbijanych i pokrzyżowanych desek i pali — jest sortownią. Wydobyty węgiel wyjeżdża na wózkach z tunelu i po szynach dostaje się do stojącej na placu sortowni. Pracujące tu kobiety wybierają pozostałe jeszcze gdnieniegdzie kawałki kamienia, sam zaś węgiel sortuje się na 3 gatunki, t.zw. "orzech," "grysik" i "miał."

Z prawej strony od wyjścia z tunelu znajduje się wysunięty nieco ku przodowi placu i leżący tuż przy zboczu góry budyneczek, zawierający dwa kompresory i warsztat. Kompresory elektryczne służą do wytwarzania sprężonego powietrza, które jest energią poruszającą wiertarki i młotki "odbudowy." Sprężone powietrze dochodzi rurami do miejsc pracy. Dalej stoi barak administracyjny, murowany budynek mieszkalny i kilka ustawionych obok siebie baraków z kantynami i magazynami. Prawe skrzydło placu zamykają baraki mieszkalne dla robotników szwajcarskich.

Co przede wszystkim rzuca się w oczy przy wejściu na teren kopalni — to mnóstwo pyłu węglowego. Pokrywa plac i budynki, wdziera się do ich wnętrza, rozmazuje na twarzach pracujących ludzi. W otoczeniu kopalń zawsze jest dużo brudu i pyłu. Tu jednak jest go wielokrotnie więcej, gdyż bucha bezpośrednio z sortowni na plac i jego zabudowania. Trzeba przy tym dodać, że jest to nie tylko pył węglowy, zasadniczo nieszkodliwy dla organizmu ludzkiego, lecz również pył kamienny. Górnicy pracujący w pyle kamiennym zapadają na niebezpieczną chorobę zwaną "silicosa." W kopalni Chandoline praca podjęta została nie zbyt dawno, trudno więc jeszcze mówić o wpływie tego pyłu na zdrowie robotników.

Z lewej strony sztolni znajduje się mały budyneczek, zawierający pewnie nie więcej jak cztery metry kwadratowe powierzchni i wyglądający na budkę strażniczą. Jest to "biuro" ppor. Wacława R., komendanta internowanych żołnierzy polskich, pracujących w Chandoline, i zarazem kierownika technicznego kopalni. Spotykam go na placu w niebieskim, usmolonym ubraniu roboczym i ledwie poznaję pod grubą warstwą rozmazanego na twarzy pyłu.

* * *

Żołnierze polscy stanowią w kopalni Chandoline podstawowy element robotniczy, dzięki któremu mogła ona rozwinąć swoją produkcję i zająć pierwsze miejsce wśród szwajcarskich kopalń węglowych. Pierwsza ich partia, w liczbie 26, przybyła do Chandoline we wrześniu 1940 r., wkrótce po podjęciu prac nad ponownym uruchomieniem kopalni.

Została ona otwarta w r. 1830. Intensywniej eksploatowano ją w latach 1915—1921, a więc w czasie poprzedniej wojny światowej, która również wywołała w Szwajcarii trudności w zakresie opału. Gdy po wojnie otworzyły się możliwości nieograniczonego importu węgla zagranicznego, kopalnia została zamknięta i prace nad jej ponownym uruchomieniem wznowiono w maju 1940 r. Natrafiono na dawniej eksploatowane pokłady "Transvaal," "Berne," "Mayenne" i "Liège," z których trzy pierwsze były niemal całkowicie zawalone i trzeba było odbudować chodniki.

Prowadząc te prace poczęto szukać robotników fachowców wśród internowanych Polaków i sprowadzono we wrześniu wspomnianą grupę, wśród której znalazł się również jeden z polskich inżynierów górniczych /który pracował w kopalni przejściowo/ oraz wspomniany ppor. W.R. absolwent Szkoły Górniczej w Dąbrowie Górniczej, pracujący w Polsce na kopalni "Mysłowice."

Polacy zabrali się energicznie do pracy nad uruchomieniem i eksploatacją kopalni. Objechano wszystkie obozy werbując do pracy górników, pracujących w kopalniach francuskich, belgijskich i polskich. Gdy zwiedzałem kopalnię w dniu 11 czerwca 1942 r., pracowało w niej 300 robotników, w tym 80 Polaków, stanowiących najbardziej fachowy element w całej załodze. Od nich uczyła się rzemiosła górniczego większość robotników szwajcarskich.

Wydobywanie węgla rozpoczęto od 10 wózków, czyli około 6 ton dziennie, podnosząc stopniowo wydobycie do 150 ton dziennie w połowie r. 1940. Gdy w całym okresie wojny światowej w latach 1915 — 1921 wydobyto w Chandoline 25 tysięcy ton, w ciągu roku 1941, a więc w pierwszym roku eksploatacji po ponownym uruchomieniu sztolni, wyprodukowano 23,700 ton, a w r. 1942 łączne wydobycie preliminuje się na 60.000 ton. W okresie od stycznia do końca maja 1942 wydobyto już 20.000 ton.

"Odbudowa" kopalni odbywa się w Chandoline w bardzo trudnych warunkach. Węgiel wydobywa się przy pomocy wiertarek i młotków, poruszanych sprężonym powietrzem i ręcznie, kilofem. Po wywierceniu otworu i wystrzeleniu górnicy podstęplowują i wybierają filary. Po wybraniu węgla filary zasypuje się "hamlonkiem," czyli po prostu kamieniem, który jest do dyspozycji, gdyż około 50% robót przy odbudowie trzeba wykonywać w kamieniu.

Do miejsc pracy idzie się około 700 do 800 m tunelem i upadowymi chodnikami, które biegną w prawo i w lewo i "najeżdżają" węgiel. Chodnik taki wysoki jest około 1,7 m i 2 m szeroki. Bokiem tunelu i chodników płynie woda, która w kopalni gromadzi się obficie z "górotworu" i wpływa niekorzystnie na pracę. Środkiem biegną szyny dla spychania wózków. Powietrze w kopalni jest przesycone wilgocią, wentylacja naturalna, nie wszędzie jednakowa i wystarczająca.

Praca odbywa się na trzy zmiany. Zmiana, która schodzi z "szychty" myje się w niewielkiej ubikacji, zaopatrzonej w natryski. Wygląda to nędznie i prymitywnie. Później idzie się coś zjeść do kantyny i odespać ciężką pracę na dole.

Ppor. R., który w zorganizowaniu pracy Polaków na kopalni i w jej uruchomienie włożył dużo wysiłku, oprowadza mnie po zabudowaniach, udziela wyjaśnień i z góry zastrzega się, że na warunki pracy i mieszkania należy patrzeć z dużą dozą wyrozumiałości. Są one ciężkie, ale niestety nic nie można na to poradzić.

—Dbam o to — mówi mi — abyśmy mogli wytrwać i pozostawić po sobie dobre imię.

Wchodzimy do murowanego piętrowego domu, gdzie w kilku salach zakwaterowanych jest około 60 i do drewnianego baraku, gdzie mieszka 20 robotników — żołnierzy polskich. Kobiety, opłacane przez żołnierzy, sprzątają brudną i czarną od pyłu węglowego podłogę, wygarniając śmiecie spod prycz. Prycze są piętrowe, prymitywne, zasłane siennikami i kocami. Wszystko zda się lepić od pyłu węglowego, którym przepojone są sienniki, koce i wiszące mundury. Nic dziwnego, skoro baraki znajdują się tak blisko kopalni. Na niektórych pryczach śpią ludzie; to ci, co zeszli rano z nocnej szychty. Niektórzy osłonili swoje łoża szczelnie kocami, broniąc tak zaimprowizowane sypialnie przed dostępem hałasu, kurzu i much. Człowiek może dużo wytrzymać, jeśli musi.

Na pierwszym piętrze murowanego budynku napis na przywieszonej na drzwiach tabliczce głosi: "*Infirmerie.*" Włada tu sanitariusz kpr. K. Czym włada? Małym pokoikiem, czarnym jak wszystkie inne ubikacje, jakimiś flaszeczkami i słoikami, paczkami waty i gazy, namiastkami chirurgicznych narzędzi. Wszystko co tu się dzieje jest na pewno niezgodne z zasadami aseptyki i higieny, które sanitariuszom wbija się do głowy na kursach. Ale kpr. K. nie jest temu winien. Takie to już są warunki pracy i robotnika i sanitariusza. Opatruje on nie tylko Polaków w razie wypadku przy pracy, lecz również i robotników szwajcarskich. Ciężej okaleczonych i chorych przejmuje w swą opiekę lekarz szwajcarski w Sion.

—Czy dużo jest wypadków przy pracy?

—Codzień po parę, ale przeważnie drobniejsze okaleczenia. Dziś w nocy zgłosiło się trzech Szwajcarów.

Kpr. K., oprócz zamiłowania do pracy sanitariusza nosi też w sobie kawałek duszy artystycznej. Z dumą pokazuje mi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, misternie inkrustowany na kartonie drobniutkimi kawałeczkami kolorowego szkła, oraz wykonane własnoręcznie rysunki. Tego rodzaju zajęcia są dość powszechne we wszystkich obozach. Kto tylko ma jakiekolwiek zdolności do rysunków, czy też jakąś umiejętność wyrobów artystycznych, dłubie w wolnych chwilach w papierze, drzewie, czy metalu. Daje to zadowolenie, skraca wlokący się czas internowania, a czasem przynosi nawet parę franków na własne wydatki, czy na pomoc dla rodziny.

JAN JANUSZ

* Por. część pierwszą: "Gdzie woda zamieniła się w wino" druk. w nr. 29, część drugą: "Polska praca na obcej ziemi" druk. w nr. 30, część trzecią: "Siekiera i szpadel zamiast karabina" druk. w nr. 32, czwartą: "Na piaskach szwajcarskiego Tobruku" druk. w nr. 33, piątą: "Polskie kartofle w Montanie" druk. w nr. 38 "Polski Walczącej" z b.r.

Bush without tears

Upojone upałem cykady rozdźwięczały się w łanach pożółkłej trawy, co przerosła i pokryła kolczaste krzaki *bushu*. Rzadko rozrzucone drzewa rzucają ostry, niemal prostopadły cień na przytulone do nich czerwone kopce termitów. Na wyblakłej płachcie tropikalnego nieba zawisło nieruchomo rozpalone do białości słońce, sącząc ciekły żar na zmęczoną ziemię.

Nikła wstęga ścieżki ożywiła się nagle szelestem rozchylanej trawy i dalekim rytmem kroków. Stadko płowych antylop przerwało sjestę i pawian-wartownik przetarł zaspane oczy, zbudzony nawoływaniem papug i krasek, które oburzone na burzycieli spokoju południa w *bushu*, poderwały się leniwie do lotu, wlokąc za sobą wspaniałe pióropusze kolorowych piór.

Wyciągnięta linia plutonu wynurzyła się z traw. Prowadzi go oficer z *Tommy-gun'em* na ramieniu i kompasem w ręku. Jasna skóra przeglądająca spod lepkiej maski szarego kurzu odcina się od szeregu hebanowych twarzy, lśniących od potu. Idą lekkim krokiem ludzi zrośniętych z tą ziemią, ich płowe mundury zlewają się w jedną całość z tłem *bushu*. Miarowo, tanecznie kołyszą się lufy karabinów i skrzynki amunicji niesione na głowach.

* * *

Słońce zrazu niechętnie, a potem coraz szybciej, jakby zmęczone torturowaniem ziemi — zniża się na niebie, zastygając w rdzawą, matową kulę. Mały patrol *R.W.A.F.F.'u* — Królewskich Zachodnio-Afrykańskich Granicznych Sił Zbrojnych — ociera ostatnie na ten dzień krople potu, spływające spod szerokich rond "australijskich" kapeluszy. Widoczne na horyzoncie stożkowate dachy słomianych chat, co jak pasieka tulą się do kopiastych, wiecznie zielonych mangowców, zwiastują wioskę, wodę i kres dziennego marszu. Pluton przyśpiesza.

Nagie, wrzaskliwe dzieciaki podniosły już alarm. Stary szef wioski poprawia białe szaty, zawiesza na szyi odświętne *Ju-Ju* i białego kurczaka, tego najchudszego, łapać każe na prezent. I nim pod bananowym drzewem, na skraju wioski, żołnierze rozłożyli się obozem, cała ludność już sunie automatycznie sformowanym pochodem: dzieciaki z przodu, potem szef z kurczakiem w ręku, który zaszczytu nie doceniając, drze się przeraźliwie, potem starszyzna, a wreszcie kobiety z kalabaszami wody na głowach.

Oficer siedząc na składanym krześle, jak przystoi białemu człowiekowi, poważnie potrząsa czarne sękate ręce starszyzny i rozdaje papierosy. Resztę honorów, włącznie z tradycyjnym pytaniem o zdrowie, o bydło i żony — dopełni czarny sierżant, bo nawet biały człowiek może być zmęczony i marzyć o herbacie i kąpieli na 27 mili dziennego marszu.

Pod bananem zgasły już ogniska. Ryż z palmowym olejem i oficerski kurczak z kompotem z puszki należy do przeszłości. Stożek rozpiętej moskitery i monotonny klekot bijących w wiosce tam-tamów kusi do snu. Służbowy kapral zmieniając warty o północy, gdy księżyc zamienił *bush* w srebrną nieruchomą toń, znów słyszał jak *white master* przez sen jedno słowo powtarzał. Słowo, które nic w języku innych *white mastrów* nie znaczy, słodko brzmiące i tęsknie: "Kochanie."

* * *

O świcie pluton przeszedł przez wioskę. Rozbudzone dziewczęta zerkają zza płotów na czarnych chłopców maszerujących piaszczystą drogą. Już tylko stal karabinów połyskuje miarowo w tumanie kurzu, gdy giną w oddali, w zielonej ścianie *bushu*.

Piechota jest zawsze tą samą szarą piechotą, nawet tu, gdzie twarze są czarne a lądy dalekie. Patroluje tysiące mil dzikich, niewytyczonych granic, które do niedawna mogły lada dzień zapłonąć wojną — i ćwiczy do zadań mogących jej przypaść w dalszych jeszcze stronach, w nieznanym jutrze Światowej Wojny Niespodzianek.

* * *

Obóz batalionu, w którym kompanie dłużej niż parę dni spędzają, to szczyt cywilizacji—"*Home.*"

Ostatni etap powrotu z patroli — zawsze te same 32 mile podróżnego marszu — to istny wyścig i stałe zawody międzykompanijne, by być prędzej w domu. "Błękitna wstęga" z 13 to-godzinnym rekordem należy do "B" kompanii i nawet nigdy nie maszerujący *clerk* z kancelarii, Omar — pijak i lingwista — jest z niego dumny.

Jeszcze jedna wioska, jeszcze ta grupa palm na trzęsawisku piaszczyste wzgórze z baobabem i wreszcie widać już słomiane dachy okrągłych budynków obozu, co naśladując murzyńską wioskę tonie w wysokim *bushu*. Tylko z werand mess, poprzez przesieki w trawie i czuby palm, można patrzeć na lepszy, szeroki świat: wielką, szaro-zieloną rzekę, skrawek białej plaży i zlewającą się w jedną całość z niebem błękitną smugę otwartego oceanu.

Broń przejrzana, amunicja już w magazynie. Nakarmieni żołnierze odpoczywają w swych słomianych chatach. Można teraz zapomnieć o "młodszych czarnych braciach" i pójść pomieszkać trochę w takich samych, jak oni — okrągłych domkach.

Czeka tam gorąca kąpiel i zimne piwo, czasem poczta, jeśli już pięć tygodni minęło od poprzedniej — i boy na progu z najszerszym, białozębnym uśmiechem i sakramentalnym: "*Welcome home, master!*"

* * *

Baboo N'Jai ma lat 13, dużą



czarną głowę z wygolonym przedziałkiem pomiędzy kępkami włosów i nieprawdopodobnie chude nogi. Jego urodę stanowią tylko zęby, jak z reklamy kalodontu i najczarowniejszy uśmiech wywiniętych warg. Baboo zjada porcję dorosłego żołnierza i zarabia jak dorosły — całe dwa funty, choć jego status w batalionie wyraźnie powiada, że jest tylko "*follower'em,*" a wśród kolegów po fachu, z uwagi na wzrost i wiek, zwany jest po prostu "*small boy'em.*"

Jeśli trzeba, Baboo pracuje jak dorosły: przynieść wiadro wody na głowie, albo cały bagaż, z którym dwu tragarzy mocowało się ongiś na Paddington Station — to drobiazg dla niego. Czasem, gdy kompania idzie w takie strony, że ciężarówka może dojechać — Baboo skurczony na czubku spiętrzonych skrzyń i bagaży, nieprawdopodobnie brudny i zakurzony, jedzie z kwatermistrzem i zjawia się na postoju z Bóg wie tylko jak i gdzie usmażonym kurczakiem, konserwami i herbatą gotowaną w płaskiej menażce na garści zeschłej trawy. Ale takich ekspedycji Baboo nie lubi. "*Bush be no good — bush able to kill person*" — powiada. A że wyssał on z mlekiem matki odwieczną "czarną" zasadę, że lenistwo jest celem życia, więc kocha te dni, kiedy *master* jest w *bushu* — sam. Gorzej jeśli *master* jest w domu. Baboo ma wówczas "*plenty palaver,*" biega przez cały dzień wielce zaaferowany, sztorcuje żołnierza ordynansa, i dzień i noc gotów jest na wezwanie, odpowiadając piskliwym, lecz potężnym "*Sahrrr!*"

Small boy jest ulubieńcem batalionu: naśladuje ruchy i miny większości oficerów, mówi dobrze "*pidgin English,*" więc można się z nim dogadać i pożartować, plotkuje zawzięcie i bardzo jest dumny, gdy dostanie jakieś ustne polecenie do powtórzenia /mało który murzyn potrafi się z tego wywiązać/. Zaczyna wtedy przemowę "Mój master mówi . . ." a potem już reszta jest w pierwszej osobie, razem z akcentem, gestykulacją, a czasem i przekleństwami. Trzeba bardzo uważać, posyłając go do grubszych ryb.

Po roku wiernej służby murzyniak staje się niezastąpionym. Gdy w czasie choroby przesiedzi skulony pod stołem przez parę nocy, gotów na własną odpowiedzialność siłą wyciągać doktora z łóżka — zaczyna się go lubić. /Choć może bał się tylko, że jak *master* umrze, to posada się urwie/. Jego marzeniem jest pojechać do *white man's country* ze swym panem. To, że ten kraj jest *Poland* — to w maleńkim móżdżku Baboo N'Jai nie stanowi problemu.

* * *

Messa jest jedynym prostokątnym budynkiem w obozie, choć też strzechą krytym. Ma parę wygodnych foteli, trochę starych pism i magazynów, radio i fortepian. Na *news'y* — kto z oficerów jest w obozie będzie już w messie, w świeżo wykrochmalonym mundurze, krawacie i wysokich zamszowych "moskito-butach."

Tradycje i zwyczaje armii angielskiej trwają tu niewzruszenie — bez względu na szerokość geograficzną. *Mess headwaiter* w czerwonym fezie tupie bosą piętą, stając na baczność i salutując ogłasza, że *dinner* jest podany. Nikt nie mówi o sprawach batalionu przy stole, porto krąży w przepisową — lewą stronę i brzmi toast: "*Gentlemen — the King!*"

Ale lody dawno już stopniały. Zbliżyły się szarże i narodowości: major — Irlandczyk z Dunkierki dyskutuje przy ginie z czupurnym Szkotem, świeżo wypuszczonym z OCTU podporucznikiem. Jaś — pieron śląski, dowódca batalionowych moździerzy, których precyzyjne strzelanie samemu G.O.C.i.C. w oko wpadło, bombarduje teraz kontrami przy *bridge'u* koalicję Południowo — Rodezyjczyków. Kapitan z Indyjskiej armii, niby żywcem wyjęty z "*Men only,*" zaczynający każde zdanie od: "*When I was in India . . .*" zanudza na śmierć swe audytorium, złożone z zarozumiałego porucznika, Afrykańczyka, roztrzepanego Walijczyka od *Bren-carriersów* i doktora, który zmęczony codzienną walką ze śpiączką, trądem i tuzinem innych, tropikalnych chorób z nietropikalnymi V.D. na czele — teraz zasypia powoli. Paddy i Andy co od podoficerskich stopni zaczęli i poprzez wszystkie zamorskie stacje Armii Brytyjskiej przeszli, zanim wojna dała im solidnie zasłużone oficerskie *pips'y*, kończą spokojnie butelkę antymalarycznego lekarstwa /"*Distilled and bottled in Scotland*"/, raczej patrząc, niż słuchając, jak zżarty przez mrówki fortepian *made in Germany*, kończy swą fantastyczną karierę pod palcami polskiego kawalerzysty. Wtóruje mu na gitarze najmłodszy oficer batalionu — Baby Rose, wyśpiewując w sentymentalnych piosenkach swą tęsknotę za lubą pensjonarką z jego ojczystej wyspy Barlados.

Wszystkich bez względu na narodowość i szarżę łączy ciężka i niewdzięczna praca w zapomnianym przez Boga i ludzi, najczarniejszym zakątku świata, tęsknota za domem i nuda. Nuda tropików, gdzie objazdowe kino z przedpotopowym filmem jest niebywałą sensacją, nuda, która zaczyna się zaraz tam, gdzie się kończy niezbędny odpoczynek po fizycznym wysiłku. Nuda, co wraz z klimatem i twardą służbą, wobec której standarty ustanawiane przez Legię Cudzoziemską nie imponują — stanowi najcięższą próbę wytrzymałości charakteru jednostki.

Messa pustoszeje wcześnie: trzeba jeszcze list napisać przy kopcącej lampie naftowej, trzeba się przygotować na jutrzejszą pobudkę przed świtem. Wyplatane trzciną okna domków gasną, zamilkł już ostatni gramofon. Noc jak wielka błękitna moskitera usiana gwiazdami, zawisła nad obozem dręczącą, martwą ciszą. Tylko w krzakach nad rzeką rozpłakała się zawiedziona hiena.

* * *

W *bushu*, messie czy własnym domku — nikt nigdy nie jest sam: są z nami zawsze zwierzęta, ptaki i owady. Oswojone, dzikie czy też normalne *pets* — są zawsze i wszędzie.

Prym wiedzie Stinker — jedyny europejski pies, żołnierz prawdziwy a więc i donżuan zawołany. Matka jego była rasową bullterrierką, ale że o mezalians na West-Coastcie nie trudno, więc Stinkerowi pozostała z bullterriera tylko biała sierść, która powiada chudym murzyńskim psom, że jest on Europejczykiem. Psy tutejsze są zawsze żółte, ale teraz w zasięgu batalionu — coraz więcej młodego psiego pokolenia ma niedyskretne białe łatki. Stinker kocha wszystkich oficerów jednakowo i jest naprawdę niczyj — tylko batalionowy. Żaden patrol, żadne ćwiczenia czy marsze nie obejdą się bez Stinkera. Idzie zawsze, w gorące południe pije wodę prosto z manierki, je ryż i *bully-beef* z apetytem, a potem pierwszy jest w messie /bo nie potrzebuje się przebierać/ i brudny, zziajany zasypia na fotelu.

Zosia jest żeńskim ekwiwalentem Stinkera w uczuciach batalionu. Zosia jest roczną antylopą "Thompson" z pięknymi, białymi kropkami na kasztanowatym futerku. Kiedy ją murzyni przynieśli na sprzedaż miała zaledwie parę tygodni i adiutant naraził dla niej swe dobre imię, szukając smoczka po wszystkich sklepach w dalekim mieście. Zosia mieszka w *bushu*. Do obozu przychodzi kiedy chce, zależnie od kobiecych kaprysów, przeważnie na popołudniową herbatę. Wchodzi wówczas do domków i kręcąc ceratowo—czarnym noskiem zjada co może: czekoladę, pastę do zębów, biscuity i numery "Polski Walczącej," popijając to wszystko herbatą z tej samej, co gospodarz domu filiżanki. Wieczorami nie speszona światłem i Stinkerem królującym w messie, kręci się koło stołu, wyciąga papierosy z puszek i bardzo z siebie zadowolona odchodzi lekkim truchtem, tupiąc kopytkami. Ostatnio Zosia przychodzi rzadziej, mniej regularnie i wygląda tak pięknie i uroczo, że zdecydowaliśmy, iż musi żyć w grzechu. Cały batalion robi zakłady, kiedy przyprowadzi ona do obozu młodą pociechę rodu antylop "Thompson."

Po tych dwu faworytach idą plejady czarnych kotów tępiących węże, raz po raz wślizgujące się do domów; zielonych papug, którym choć dawno już odrosły przycięte skrzydła wcale nie śpieszno do odlotu z obozu; błękitnych z żółtymi podgardlami jaszczurek i ogromnych, czarnych, wojowniczych skorpionów. Kameleon zakwaterowany w domu z funkcją wyłapywania much tak już zleniwiał i osowił się, że nie chce nawet zmieniać kolorów. Pod kuchnią urzęduje stale kaleka bocian, który choć świetnie odżywiany jest zawsze nastroszony i ponury. Rozumiemy się z nim dobrze: on też nie może wrócić do Polski.

A ponad *bushem*, gdzie małpy, antylopy, dziki i lamparty wiodą beztroski żywot, ponad zalewami leniwej, wielkiej rzeki, pełnymi wiecznie sennych krokodyli króluje nieprawdopodobnie barwna, nieprawdopodobnie różnorodna masa ptaków od drapieżników wiszących nieruchomo, wysoko pod niebem, począwszy—aż do najmniejszych skrzydlatych istotek, co jak grudki rdzawej ziemi, ledwo widoczne, rwą się spod nóg. Niemal co dzień spotrzec można jakiś nowy gatunek ptaków, nieznanej nam rodziny i nazwy. Ale co po nazwach. Wystarcza, że są piękne, urocze, jak uśmiech. Jedyny uśmiech Zachodniego Wybrzeża.

W tym wyliczeniu stałych towarzyszy życia w *bushu* nie można zapomnieć o "piątej kolumnie" tych stron: białych mrówkach i moskitach. To nasi codzienni wrogowie. I biją nas stale w tej prawie niewidzialnej, zaciętej walce o panowanie białego człowieka na tym wybrzeżu.

* * *

To nie ptaki nas budzą co rana. To my budzimy ptaki, wstając przed świtem na poranne zajęcia w kompaniach. I gdy słońce wschodzi, plutony stoją już wyrównane na maleńkim placyku wydeptanym w *bushu* przed chatką dowództwa kompanii. *Sergeant-major* potężny, czarny jak smoła Sargo Jallon, zdaje raport, sztorcując w rodzinnym narzeczu, lecz językiem wspólnym na całym świecie wszystkim szefom kompanii, kogoś co nie dotrzymał tempa przy "na ramię broń."

Dziś — po z górą roku — linia twarzy w szeregu, które zrazu wydawały się tą samą czarną maską powtórzoną w setkach kopii, ma już nie tylko nazwiska i numery, ale i wyraz i indywidualną historię. Twarze są czarne, brunatne lub jasno — brązowe, ładne i uśmiechnięte, lub odrażająco brzydkie i ponure. Twarze młodych żołnierzy, co jeszcze rok temu nie widzieli karabinu, auta i nigdy nie nosili butów — i starych podoficerów, co wiedzą z abisyńskiej kampanii /a czasem i poprzedniej Wojny Światowej, gdy von Lettowa gonili po Wschodniej Afryce/, że szermierka bagnetem nie jest tylko koszarowym ćwiczeniem.

Dziś znamy się już dobrze z tym żołnierzem "bez problemów" /poza ryżem i wodą/, łatwym do dowodzenia, zdyscyplinowanym. Włożyliśmy w niego dużo, dużo pracy — on dał z siebie szczerą ochotę do nauki wojennego rzemiosła i wszelkich innych "*white man's palaver,*" niespożytą wytrzymałość i znajomość *bushu*. Do czego nasze wojsko jest zdolne i czym się specjalnie odznacza, warto będzie pisać dopiero wtedy, gdy fortuna wojenna szczęśliwszym dla RWAFF'u potoczy się kołem — da nam zobaczyć czarnych sprzymierzeńców w akcji.

HUBERT

W cieniu lotaryńskiego krzyża

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Generał Collet, delegat "France Combattante" na Syrię
Fotografia z własnoręczną dedykacją dla "Polski Walczącej": "*Hommage fervent à la Pologne Combattante* 28.12.42."

Damaszek

W Bejrucie góry Libanu przeglądają się nieomal w zwierciedle błękitnego morza. Niebo nad miastem jest niepokalanie czyste już od długiego szeregu dni, a morze, łaskawe i dobrotliwe, głaszcze łagodnymi falami mola portu i kamienne fundamenty nadbrzeżnego bulwaru. Przed nami nieruchomy błękit Morza Śródziemnego, za nami— potężne, pokryte śniegiem masywy gór Libanu. Jak w Nicei.

Bejrut jest typowym francuskim miastem śródziemnomorskim. Coś jak Marsylia w miniaturze, Algier lub Tulon. Trudno uwierzyć, że znajduje się on w Azji i że to nie Francja. Wszystko tu jest francuskie. Język, i to nie tylko Francuzów miejscowych, ale i wszystkich wyższych klas społeczeństwa libańskiego. Ba, znaczna część prostego ludu mówi tu po francusku. Architektura domów mieszkalnych, gmachów publicznych, willi. Sklepy, hotele i restauracje. Cały styl życia, klimat, nastrój, smak codzienności. Wszystko jest francuskie.

Przy tym widać od razu, że ta francuskość nie jest tu wynikiem żadnego wynaradawiania lub przemocy, lecz owocem wiekowej pracy kulturalnej, która urabiała stopniowo tutejsze pokolenia i powoli, etapami, przyswajała im gallicką kulturę. Przemocą, politycznymi i administracyjnymi metodami, niepodobna osiągnąć tego, aby w ciągu dwudziestu paru lat jakiś naród uznał obcy język za swój własny, za drugi język ojczysty. Wystarczy zresztą zapoznać się z francuskimi szkołami klasztornymi, istniejącymi w Syrii i Libanie od dziesiątków lat, lub z Uniwersytetem Jezuitów francuskich w Bejrucie, aby odgadnąć przyczynę tego zjawiska.

Damaszek jest inny, już nie tak bardzo francuski. Tutaj gallickiej misji kulturalnej przeciwstawiła się wielka, bohaterska legenda Islamu i świata arabskiego, legenda Saladyna, którego grobowiec jest największą świętością w tym mieście, legenda klęski Wypraw Krzyżowych i triumfu Półksiężyca. Powrotna fala cywilizacji chrześcijańskiej, która pod postacią kultury francuskiej zastukała znowu po wielu wiekach do wrót arabskiego świata, natrafiła tu na żywe jeszcze wspomnienia historycznej klęski pierwszej fali, tej, która wraz z Wyprawami Krzyżowymi rozbiła się o piersi Saladyna i o mury Damaszku. Nie łatwo jest przezwyciężyć takie wspomnienia, taką legendę, taką tradycję.

I dlatego Damaszek jest miastem przede wszystkim arabskim. Miastem wspaniałej, odwiecznej arabskiej kultury, przeszłości, heroicznej legendy. Symbolami ducha tego miasta będą już nie francuskie gmachy i pomniki, których jest tu mnóstwo, lecz grobowiec Saladyna, Wielki Meczet z jego feerycznie pięknym minaretem, koronkowy pałac Azem, klasztor Derwiszów i drzemiące w kontemplacji wieków wąskie, kręte uliczki damasceńskie, z ich patrycjuszowskimi domostwami.

Ale i tutaj także, zwłaszcza w nowych dzielnicach, pokost francuski jest niezwykle mocny. I tutaj przyjęły się szeroko formy francuskiego życia. I tutaj wszyscy prawie mówią po francusku. Bo wszędzie w Libanie i Syrii, na każdym kroku, widać geniusz Francji, tej prawdziwej, wielkiej Francji, której kultura promieniowała przez stulecia na cały niemal obszar świata i bez której nie było by dzisiejszego człowieka. Nie spoglądajmy wyłącznie na Francję Pétainów, Lavalów i Doriotów. To jest jej karykatura. Spójrzmy na dzieło Francji w Syrii i Libanie. W tym dziele odnajdziemy ją — całą, prawdziwą.

Ulicami Damaszku maszeruje kompania francuskich wojsk kolonialnych. Czerwone fezy, mundury koloru khaki. Na przedzie trębacze grają tak dobrze znaną . . . "Madelon." Wojsku towarzyszy tłum ludzi. Twarze uśmiechnięte, pozdrowienia, wiwaty. Cały arabski Damaszek jest dziś pełen Francji i jej instytucji wojskowych. Wszędzie trójkolorowa chorągiew, krzyż lotaryński /odznaka "Francji Walczącej"/ i francuskie mundury. Kasyno oficerskie obok szpitala wojskowego, propaganda obok Delegacji Komitetu Narodowego "Francji Walczącej," koszary, biura . . . W radiu damasceńskim często grają "Marsyliankę." Dawnośmy jej nie słyszeli . . .

Bejrut jest, obok Londynu i od niedawna Algieru, najważniejszym ośrodkiem "Francji Walczącej." W t.zw. "Grand Serail," wielkim gmachu, mieszczącym biura dowództwa armii francuskiej na wschodzie, urzęduje generał Catroux, druga po generale de Gaulle osoba "France Combattante," wybitny dowódca i polityk, b. generalny gubernator Indochin. W porcie bejruckim drzemią senne kadłuby francuskich okrętów wojennych. Nad portem, na tle błękitnego nieba, srebrzą się monstrualne kichy balonów zaporowych. Bejrut jest dobrze broniony przed ewentualnymi atakami z powietrza. W dniu mojego przyjazdu, wieczorem, zarządzono krótki alarm lotniczy. Ukazały się podobno gdzieś, jakieś dwa nieznane samoloty, lecz odpędzone ogniem D.C.A., odleciały natychmiast. Nazajutrz radio rzymskie ogłosiło, że lotnictwo włoskie dokonało ciężkiego nalotu na Bejrut i że tamtejsza wielka rafineria nafty została całkowicie zburzona. Radio bukareszteńskie dodało, że "podczas nalotu włoskiego na Bejrut ponad 200 osób zostało zabitych, a doki portowe są nie do użytku." Biedna propaganda państw Osi. . . .

Mój pobyt w Bejrucie przypadł na bardzo ciekawy i niezmiernie doniosły dla Francji okres. Po zabójstwie admirała Darlan generał Giraud mianowany został właśnie generalnym komisarzem francuskiej Afryki Północnej i Zachodniej. W Libanie i Syrii wszyscy z naprężeniem oczekiwali ważnych wypadków. Ludzie godzinami nie odchodzili od aparatów radiowych. Gazety były rozchwytywane. Z godziny na godzinę oczekiwano historycznych wydarzeń.

Któregoś wieczora słuchaliśmy radia wraz z gronem wyższych oficerów francuskich. Z Londynu przemawiał generał de Gaulle. Mówił o nominacji generała Giraud. Nazwał go "wielkim wodzem." Oświadczył, że jako członek gabinetu francuskiego z czerwca 1940 r., może stwierdzić, że rząd ówczesny żałował, iż z powodu dostania się generała Giraud do niewoli niemieckiej, nie mógł go wtedy mianować generalissimusem armii francuskich. Obecnych ogarnęło wielkie, głębokie wzruszenie. W oczach niektórych z nich zabłysły łzy. Znane już było wszystkim oświadczenie generała Giraud, w którym zapowiedział on współpracę z generałem de Gaulle.

—"Rodzi się nowa Francja"— szepnął jeden z mych współtowarzyszy.

Nazajutrz rozmawiałem z kilku podoficerami i szeregowcami "Francji Walczącej." Mówiliśmy o Francji i o Polsce. Jeden z podoficerów, dawny robotnik paryski, który przeszedł niewypowiedzianą gehennę zanim zdołał przedostać się do szeregów "Francji Walczącej," rzekł mi:

—"My, Francuzi, dopiero teraz zrozumieliśmy was, Polaków. Nie pojmowaliśmy was przedtem, nie docenialiśmy. Przecież my, Francuzi, robimy teraz od dwóch lat to, czym wy, Polacy, zajmowaliście się przez sto dwadzieścia pięć lat i co obecnie robicie znowu: tworzymy zagranicą komitety narodowe i armie, idziemy z obczyzny na podbój własnego kraju. Rozumiemy teraz, ile bohaterstwa i uporu trzeba, aby choćby przez parę lat prowadzić tego rodzaju akcję. A co dopiero przez półtora wieku niemal . . . Nie docenialiśmy was."



Widok ogólny Bejrutu



Meczety Damaszku

W Syrii przebywała przez czas dłuższy II Brygada Karpacka płk. Frączka. Żołnierze nasi pozostawili zarówno wśród armii i władz francuskich, jak i wśród społeczeństwa miejscowego jak najmilsze i najlepsze wspomnienie. Wszyscy dziś jeszcze wspominają tam z największą sympatią pobyt polskich oddziałów. Defilada wojsk naszych w Damaszku, w dniu 14 lipca r. ub., wywołała powszechny zachwyt. Polski teatr żołnierski i orkiestra wojskowa cieszyły się wielkim powodzeniem. Lubiono naszych żołnierzy, szanowano ich.

Pozostawili oni zresztą piękny i trwały wyraz swego pobytu w tych stronach. Nad szosą, wiodącą z Damaszku do Bejrutu, wysoko, w skale, obok na pół zatartej tablicy ku czci jednego z imperatorów rzymskich, wmurowali nasi żołnierze drugą tablicę, również z łacińskim tekstem, lecz z Orłem Białym. Głosi ona przyszłym pokoleniom, że w tych latach drugiej wojny światowej polscy żołnierze, w drodze do Ojczyzny, przebywali tutaj.

Defilada wojsk polskich w Damaszku, 14 *lipca* 1942



Generał Collet, delegat "Francji Walczącej" na Syrię, oświadczył mi w rozmowie:

—"Jeśli chodzi o mnie, to wśród naszych polskich towarzyszy broni z Brygady Karpackiej wyczułem tętno serca Polski i uzyskałem ostateczną pewność naszego zwycięstwa. Wierzę, że nieszczęścia, jakie spadły na Polskę i jakie wciąż jeszcze na nią spadają, jak i na wszystkie inne uciśnione narody Europy, nie zostaną puszczone w niepamięć w chwili pokoju. Duch oporu, który ożywia Polaków w Kraju oraz ich wspaniała waleczność na frontach bojowych dowodzą niezbicie, że ich ojczyzna nie zginie."

A teraz, na zakończenie, powiedzmy jeszcze jedno. Katastrofa czerwca 1940 r. skrzywiła nasze pojęcia o Francji. Dostaliśmy jakby obuchem w głowę. To, co stało się wtedy, było zbyt potworne i nieoczekiwane, aby mogło nie wpłynąć na nasz, polski światopogląd. Wielu spośród nas zdawało się, że Francja, ta dawna, bohaterska, słoneczna Francja, którą tyle z nami łączyło, skończyła się bezpowrotnie.

Pojedźmy do Bejrutu i Damaszku. Tam ujrzymy znowu prawdziwą Francję, tę której obraz wyryto nam w duszach od dzieciństwa. Tam znajdziemy Francuzów, którzy cierpią, ale walczą, krwawią, ale nie tracą nadziei. Francuzów, którzy idą przed siebie, zapatrzeni w dawną glorię swej wielkiej ojczyzny, kraju Wielkiej Rewolucji, Napoleona i Focha.

ROMAN FAJANS

O chlebie naszym powszednim . . .

"Nie, stanowczo nie, nie wierzę w te Pańskie witaminy"—mówił do mnie parę miesięcy temu, jeden z naszych najwybitniejszych pisarzy, przebywających obecnie w Anglii, gdyśmy dyskutowali nad zagadnieniem odżywiania w czasie wojny. W żaden sposób, mimo przeprowadzonej przeze mnie argumentacji nie dał się przekonać co do zmian w naszym odżywianiu, jakie pociąga za sobą wojna.

Nie wiem czy temat ten zainteresuje Czytelników "Polski Walczącej." Pragnę jednak zwrócić ich uwagę na to, iż jedną z walnych przyczyn klęski Niemiec w r. 1918 był przecież chleb. Znanym szeroko w literaturze dotyczącej tej wojny faktem jest t.zw. "*Schweinemord*" czyli wybicie wielkiego odsetka świń niemieckich na rozkaz władz: uczeni niemieccy, dodajmy prędko: teoretycy, obliczyli, że znacznie ekonomiczniejszym dla celów wojny będzie spożywanie wprost przez ludzi całego szeregu składników pokarmowych pasz, niż podawanie ich poprzez przewód pokarmowy świni w postaci wieprzowiny. Rezultat był opłakany: już w trzecim roku wojny poprzedniej brak tłuszczów zwierzęcych był powodem daleko posuniętych zmian w zdrowotności publicznej, ale przede wszystkim daleko posuniętego obniżenia "morale" Niemiec.

Dyktatorzy zabrali się znacznie mądrzej do dzieła. Pamiętamy wszyscy, jak wcześnie Mussolini rozpoczął swoją "*battaglia di grano.*" Co więcej pamiętamy entuzjazm, z jakim różni nasi domorośli admiratorzy młodego wówczas faszyzmu odnosili się do tej "bitwy o ziarno," nie widząc w swym zaślepieniu zasadniczego celu nie tylko Mussoliniego, lecz przede wszystkim Hitlera t.j. przygotowań do wojny. Każdy kto przed wojną miał dostęp do czasopism niemieckich dotyczących produkcji zwierzęcej, czy to roślinnej widział we wszystkich niemal artykułach gorączkowe przygotowania do zdobycia chleba na wypadek wojny. Niewątpliwie obok wielu innych ważnych przyczyn, pochód polityki zagranicznej i wojennej Niemiec w kierunku Polski, Czechosłowacji, Węgier i Bałkanów był dyktowany momentami gospodarczymi, dążeniem do przetrwania przewidywanej blokady.

Wróćmy jednak do naszego tematu. Co wiedzieć powinniśmy o sprawach związanych z naszą aprowizacją? Na innym miejscu podałem kilka danych dotyczących gorączkowej i celowej pracy uczonych brytyjskich, by wzmóc produkcję rolniczą Wielkiej Brytanii, by starczyć z produkcją żywności, w chwili, gdy cały wysiłek tego narodu jest skierowany ku wzmożeniu potencjału wojny totalnej. Wiemy z codziennej prasy, jak rozumnie i celowo przeprowadzane są różne zarządzenia dotyczące wyżywienia. Co więcej widzimy, jak talent organizacyjny i systematyczność Anglików dawały sobie radę z tak nowymi i złożonymi zagadnieniami, jak n.p. stworzenie doraźnego, masowego żywienia ludności, dzielnic, lub nawet całych miast, które ucierpiały z powodu bombardowania, w postaci ruchomych kantyn etc.

W niniejszych uwagach pragnąłbym raczej ograniczyć się do sprawy odżywiania się nas samych oraz do wynikających stąd czysto praktycznych wniosków.

Musimy zdać sobie sprawę, iż odżywianie mieszkańców wysp brytyjskich w dużym stopniu odbiega od naszych norm i przyzwyczajeń. Poza wpływem klimatu była to, przypuszczam, jedna z przyczyn ogólnego, naszego, gorszego samopoczucia, jakie wielu z nas odczuwało po przybyciu do Anglii. Wysoka stopa życiowa i powstałe w związku z tym przyzwyczajenia i przesądy sprawiły, że szczególniej na początku obecnego stulecia, w Anglii spadło spożycie mleka, spożywano bardzo mało zielenin i jarzyn, na korzyść herbaty i mięsa. I co najistotniejsze, Anglicy przeszli na czystobiały, pytlowany chleb. Rezultaty stosowania tej "diety bogatych" były opłakane i w pełni uświadomiła je dopiero wojna w r. 1914. Wbrew temu co się powszechnie na kontynencie przypuszczało, odsetek młodzieży odrzuconej od czynnej służby wojskowej przez komisje poborowe angielskie był znacznie wyższy, niż w krajach kontynentu.

Po zakończeniu się wojny 1914-1918 uczeni zajęli się tą sprawą. I tu musimy stwierdzić (wbrew wspomnianemu na wstępie mojemu rozmówcy, autorowi dramatycznemu), że nauka to dziwna księga starych, nieraz wieki mających recept, księga, w której wolno dopisać się każdemu młodemu uczonemu z jego nową receptą, opartą na jego pracy i nowych doświadczeniach. Ale księga ta ma o tyle tylko wartość o ile czyta się ją całą, od samego początku, gdy się ogarnia całość, o ile czyta się wszystkie recepty dawne i nowe.

Tak się i tu stało: przy bliższym badaniu okazało się, iż odżywianie się poprzednich pokoleń, na niższym poziomie życiowym pozostających miało swoje dobre strony, a to przez szerokie spożycie mleka, jarzyn, owoców, a przede wszystkim pełnowartościowego, niepytlowanego chleba. Należało stopniowo przekonać społeczeństwo o konieczności powrotu do obyczajów przodków. Udało się to częściowo w okresie między obu wojnami i lekarze komisyj poborowych w r. 1939 przeżyli miłą niespodziankę w postaci znacznie lepszego stanu zdrowotnego badanych rekrutów.

Niewątpliwa poprawa w sposobie odżywiania się Anglików nie rozwiązuje jednak rozpatrywanego zagadnienia. Z jednej strony mamy do czynienia ze sprawą przyzwyczajenia i dostosowania się polskich żołądków do kuchni i obyczajów angielskich, z drugiej zaś stoi przed nami zagadnienie przystosowania się do możliwości dalszych ograniczeń w normach odżywiania się, jako normalnych skutków prowadzonej wojny, na której terenie się znajdujemy.

Słuszne więc jest zapoznanie z tym co nazywamy dietą podstawową, minimalną dla naszego utrzymania się. Zawierać ona musi z jednej strony pewne składniki podstawowe, z drugiej pewne zaś inne składniki niezbędne w drobnych ilościach.* Oto taka dieta przykładowa zaczerpnięta ze źródeł naukowych angielskich:

	w uncjach	w gramach
chleb	12	372
mleko	0.6 pint	0.6 litra
produkty mączne (owies)	2	62
tłuszcze	1.5	46
ziemniaki	1.5	46
jarzyny	6	186

na dzień dla dorosłego człowieka. Dieta ta jest minimalną, bez uwzględnienia dodatku mięsa. Jednak doświadczenia wykazały, że przy odżywianiu się według powyższej normy jest w zupełności możliwe nie tylko utrzymanie się przy życiu, ale i prowadzenie pracy zawodowej, oczywiście nie ciężkiej. Przedstawia ona to, czym, gdyby nastać musiały z powodu prowadzenia wojny wielkie ograniczenia, większość ludności nie pracującej w fabrykach lub nie pozostająca w służbie obrony, będzie musiała się kontentować.

Przy diecie wyżej wymienionej grozi jedno niebezpieczeństwo: brak pewnych niezmiernie ważnych składników pokarmowych zwanych witaminami. Brak któregoś z tych składników, znanych obecnie dobrze nauce tak na drodze doświadczeń fizjologicznych i klinicznych, jak też pod względem ich składu chemicznego—powoduje poważne zaburzenia. Znane są one przede wszystkim jako szkorbut, "angielska choroba" czyli rachitis albo krzywica, beri-beri i t.d. Choroby określane tymi nazwami przedstawiają raczej krańcowe stadia schorzeń, wywołanych przez brak tych czy innych witamin.

Mniej widoczne, ale za to częstsze są inne zaburzenia w postaci stanu ogólnego wyczerpania, złego fizycznego, a nawet moralnego samopoczucia, zwiększania natężenia próchnicy w zębach, skłonności do zaziębień, a nawet cierpień sercowych. Oczywista objawy te nie muszą występować razem, widoczny może być tylko jeden z nich. W przedwojennej diecie angielskiej brak witamin w pokarmach wyrównany był owocami. Obecnie jest ich dużo mniej.

Cóż powinniśmy czynić w świetle powyższych wywodów, szczególniej, gdyby nastąpiły dalsze ograniczenia i gdy jeszcze więcej potraw codziennych będzie pochodzić z t.zw. "tins" czyli puszek? Snop światła rzuca na tę sprawę obszerna dyskusja, jaka swego czasu toczyła się na łamach "*Times'ów*" dowodząca faktu, jak wiele uwagi poświęca się zagadnieniom odżywiania i przyszłości tego narodu, jeśli idzie o pokolenie młodzieży. Zdaje się, że pod wpływem przestróg uczonych władze zdecydowały wprowadzenie domieszki około 10% pełnowartościowej mąki razowej do chleba. Nie stracił on drogiego Anglikom białego wyglądu, a jak wynika z zapewnień znawców zawiera wcale dostateczną ilość tych witamin, w które obfitował nasz chleb razowy.

Niezależnie od tego powinniśmy z własnej inicjatywy te ważne brakujące składniki w naszych pokarmach uzupełniać. Jak już wspomnieliśmy zarówno w diecie wojskowej, jak w odżywianiu cywilów niemal wszystko pochodzi z "tins'ów." Starajmy się uzupełniać te braki wspaniałym, niegotowanym mlekiem angielskim i zieleninami, jak też łatwymi do nabycia u każdego "chemist'a" lub "Boot'sa" nie drogimi preparatami "Marmite," "Halibut" i innymi, zawierającymi w skoncentrowanej formie, brakujące witaminy. Znam wypadki w których "Halibut" (tłuszcz z dorsza) wraz z preparatem wapnia (n.p. Calcium Sandoz) dawał nadzwyczajne wyniki, czasem nawet zapobiegające lub wstrzymujące próchnicę zębów.

Przede wszystkim jednak pamiętajmy, że jest nas na tej wyspie zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. A praca, jakiej kraj nasz od nas wymaga jest co najmniej podwójna. I musimy zadania te spełnić. Nie może być inaczej. Może w przeciwnym wypadku nie bylibyśmy warci powrotu do kraju. By tak się stało musimy być silni i zdrowi, potem będzie nas jeszcze więcej potrzeba.

KAZIMIERZ WODZICKI

* Pod określeniem "diety" w nauce żywienia rozumiemy zestawienie pokarmów pobieranych w ciągu jednego dnia, o pewnym określonym składzie najważniejszych czynników odżywczych.

Skrzynka pocztowa

O WŁAŚCIWĄ OPINIĘ O MARYNARZACH

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwracam się do Pana Redaktora w sprawie dotyczącej propagandy polskiego marynarza, z wiarą, że Pan, jako Redaktor pisma poświęconego sprawom polskim na obczyźnie, zechce moje uwagi przyjąć i opublikować. Może te uwagi przemówią do serc tych ludzi, co nieraz piszą bardzo pięknie, ale jakżeż lekkomyślnie i łatwo wydają opinie niezgodne z prawdą. Jestem marynarzem na okręcie podwodnym, który jest od długiego czasu zagranicą—na podwójnej obczyźnie, bo z dala od Anglii. Dostajemy polskie gazety od czasu do czasu, przychodzą one rzadko. Są w nich piękne artykuły o Marynarce Polskiej. Gdy się czyta pismo polskie tutaj na okręcie, czasem z radości i ze wzruszenia łzy stają w oczach człowiekowi.

I nagle, czytając piękne, wzruszające artykuły, "aż zatyka" nas z oburzenia. A to z tego powodu w jakim świetle przedstawiony jest polski marynarz. Piękne artykuły rzucają smutny cień na nasze marynarskie życie.

Był artykuł o komandorze Grudzińskim, gdzie autor pisze, że rozmawiał z marynarzem, który "wypił dwie whisky, mówił od rzeczy," a autor powstrzymywał go od dalszego picia. Gdy wyszli, marynarz ten zataczał się i słychać było pijackim głosem śpiewaną marynarską piosenkę: "Morze, nasze morze, będziem ciebie wiernie strzec" . . . —

Ja i moi koledzy nie mogą zrozumieć, poco takie rzeczy się pisze? Bo jeszcze po dwóch whisky nikt ze zdrowych ludzi nie będzie się zataczał. I piosenka "Morze, nasze morze," to dla nas jest jakby powtarzana ciągle przysięga żołnierska. Jest w tym coś, czego nie potrafię wyrazić; ale ja nie spotkałem takiego marynarza i nie wierzę, żeby prawdziwy marynarz, choćby nie wiem jak pijany, mógł w ten sposób ją śpiewać. Tak samo jak po pijanemu nikt nie będzie śpiewał: "Boże coś Polskę."

Drugi przykład z innego artykułu. Przy ratowaniu rozbitków z okrętu marynarz jest w łodzi i zamiast wyciągać ludzi, szuka butelki whisky. Pytam się jako marynarz, kto byłby zdolny do takiego czynu? Ja bo nie wierzę w to, żeby zamiast ratowania życia ludzkiego myślał o wódce.

Jeszcze inny artykuł, gdzie jest mowa o ściąganiu załogi z lądu przed wyjściem na morze: "Większa część wróciła mocno podchmielona." Właśnie rozmawiając o tym artykule z żołnierzem wojska lądowego spotkałem się z pytaniem, czy my musimy dodawać sobie odwagi piciem przed wyjściem na morze?

Dużo się mówi o nadmiernej czułości naszej. To jednak nie jest przeczuleniem to co myślę i piszę nie za siebie, ale za moich kolegów ze wszystkich okrętów. Nas to boli i obraża, bo takie przedstawianie życia marynarzy, to obraza naszego munduru. Takie pisanie jest lekkomyślne, bo te gazety idą do wszystkich ośrodków, gdzie Polacy mieszkają. Czasem są tłumaczone na języki obce, i na tej podstawie ludzie wyobrażają sobie, że marynarz wszystkie wolne chwile spędza w knajpach portowych z dziewczętami lekkiego prowadzenia, a na morze wychodzi pijany. Kto wie — gazety te mogą dojść do Polski, gdzie rodziny nasze dowiedzą się, jak ich synowie "walczą" ! ?

Dam dobrą radę tym, co chcą pisać o marynarzach. Niech nie szukają wrażeń w knajpach portowych, gdzie prędzej można spotkać wyrzutków z marynarki, a nie marynarzy z okrętów. Niech zrozumieją, że marynarze to "wesoły" naród, skłonny do nabierania cywilów, tak mało rozumiejących się na naszych sprawach. Z chwilą, kiedy zrozumieją nasze zadania i naszego ducha, przestaną z pewnością pisać o szukaniu wódki w łodzi ratunkowej.

Niech ci panowie przyjdą do nas i poznają prawdziwe nasze życie. Niech się dowiedzą, ilu to prostych marynarzy ma ukończone szkoły średnie, albo że wśród rodziców prostych marynarzy są nazwiska o sławie literackiej czy naukowej. Niech się dowiedzą jakie książki i w ilu językach czytają marynarze, ilu z nich pożeniło się i pozakładało rodziny. Niech się dowiedzą, ile oszczędności mają złożonych marynarze, to może wtedy powstanie pytanie skądże pieniądze na pijaństwa i rozpustę? Niech przyjdą do nas w niedzielę rano, do małej kapliczki w ruinach, by zobaczyć jak wyglądają marynarze, "po pijackiej nocy, spędzonej na hulankach" . . .

Ja piszę to wszystko, bo nie chcę, żeby mój syn kiedyś pytał mnie:—"Tatusiu, czy Tatuś też tak chodził pijany?"

Już chyba czas najwyższy skończyć z taką "propagandą" o życiu marynarskim, bo my chyba zasługujemy na przedstawienie nas w lepszym świetle. I niech ci, co piszą o morzu, dowiedzą się, że piosenki "Morze, nasze morze" nie śpiewamy teraz na okręcie, bo nie mamy teraz naszego morza. I walczymy po to, żeby tam w Gdyni, wolnej i pięknej, nad odzyskanym polskim Bałtykiem, móc ją zaśpiewać nie pijackim głosem, ale silnym i trzeźwym. Głosem niosącym wolność Ojczyźnie.

st. mar. Tadeusz M.
(O.R.P. "Sokół.")

List ten opatrzony został dopiskiem dowódcy okrętu: "Jest to przykład charakterystyczny, reakcja marynarzy istotna i głęboka; pod listem sam podpisałbym się chętnie."

GŁOS BYŁEGO JEŃCA

Do Redakcji "Polski Walczącej"

Proszę P. Redaktora o łaskawe zamieszczenie w "Polsce Walczącej" następujących uwag. Ze zdumieniem czytam list p. Zofii Leszczyc (nr. 38) odpowiadającej na artykuł zamieszczony w jednym z poprzednich numerów "Polski Walczącej" b. jeńca polskiego p. J. Lisa pod tytułem "Protestuję." Jako były jeniec z Rosji, siedzący w specjalnym obozie karnym przez 2 lata, poczuwam się do obowiązku uświadomić autorkę, że jeniec polski, były, czy w dalszym ciągu siedzący w obozie, to nie "biedny chłopak," lecz tylko i zawsze żołnierz polski. Czytając artykuł p. Lisa "Protestuję" stwierdziłem, że człowiek nieprzeciętny mógł napisać tak poważny i rzeczowy artykuł o doli jeńca polskiego a nie "biedny chłopak," jak kąśliwie napisała p. Z. Leszczyc. Widać Pani ta nie wyzbyła się starego kompleksu, lecz częstuje byłego jeńca tytułem: "Andziu, proszę puścić Jasia wejściem od kuchni."

Domyślam się z czytanego artykułu p. Z. Leszczyc, że musi być pracownicą Polskiego Czerwonego Krzyża, wynika to z treści jak i przejrzystości artykułu. Żałuję, że za instytucję Polskiego Czerwonego Krzyża odpowiada polemicznie osoba nie umiejąca zachować umiaru pożądanego w tym wypadku. Były jeniec polski, jak również jeszcze siedzący w obozach na pewno nie pragnie współczucia ani uznania tego pokroju i w tej formie. Lecz jeniec polski oczekuje pomocy od naszej instytucji Polskiego Czerwonego Krzyża i od nas wszystkich znajdujących się w Anglii. Uważam, że p. Zofia Leszczyc nie jest Polskim Czerwonym Krzyżem, aby odpowiadać w takiej formie, która tylko szkodę przynieść może tak zasłużonej instytucji, jak Polski Czerwony Krzyż i rozgoryczenie jeńców i byłych jeńców polskich.

List p. Z. Leszczyc poza jego inkryminowanymi słowy, unaocznia w przystępny sposób pożyteczną działalność Polskiego Czerwonego Krzyża. Nie wszyscy są księgowymi z zawodu, aby zrozumieć suche zestawy bilansowe, które swego czasu dołączone były do każdego egzemplarza "Polski Walczącej."

Pożyteczny artykuł p. J. Lisa odbił się szerokim echem nie tylko w wojsku naszym, lecz również naszej emigracji cywilnej, czego dowodem wzrost rubryk składkowych w "Polsce Walczącej" i innych pismach polskich. Zatem nie ma "biednych chłopaków" p. Z. Leszczyc, tylko jeńcy polscy i b. jeńcy.

Z poważaniem

Były jeniec

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW

Szanowny Panie Redaktorze,

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich składa serdeczne podziękowanie wszystkim tym osobom, które na pośrednictwem "Polski Walczącej" nadesłały ofiary na "paczki od serca" dla jeńców-Polaków w niewoli niemieckiej. Do wiadomości ofiarodawców, w których sercach inicjatywa nasza wzbudziła tak żywy oddźwięk, podajemy poniżej fragment jednego z licznych listów od jeńców:

"*Ci nasi bracia i siostry, którzy nam, pozbawionym dotąd jakiejkolwiek pomocy, jakiegokolwiek słowa od najbliższych, przesłali pierwsze paczki i listy—budują sobie pomnik wdzięczności w naszych sercach. Z największym wzruszeniem, z uczuciem obudzonej otuchy składamy im za tę pamięć o nas — serdeczne Bóg zapłać!*"

Wyniki zbiórki pieniędzy na "paczki od serca" ogłoszone zostały w "Polsce Walczącej" w nr. 36, 37 i 38. Ogólna suma uzyskana dotąd na ten cel wyniosła £75.15.9. Za te pieniądze wysłano 163 paczki papierosów po 500 sztuk każda /9s. 3d./; 151 paczek dla szeregowych, 12 dla oficerów. "Paczki od serca" zawierają wyłącznie papierosy, ponieważ: 1/ papieros w obozie jeńców wojennych w Niemczech jest monetą obiegową; 2/ nie ma ograniczeń ilości papierosów wysyłanych dla jeńca.

Listę imienną jeńców, którzy otrzymali "paczki od serca" można przejrzeć w Redakcji "Polski Walczącej."

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stow. Społ. Służby Kobiet Polskich.

W SPRAWIE HISTORII POLSKIEJ PRASY LOTNICZEJ

W związku z projektem odtworzenia historii prasy lotniczej w tej wojnie, począwszy od chwili przekroczenia granic, prosi się wszystkie osoby posiadajace numery jednodniówek i gazetek wydawanych w jednostkach, na stacjach, czy obozach gdzie byli lotnicy, bądź też redagowanych przez lotników, o przesłanie choćby jednego egzemplarza, wraz z podaniem szczegółów dotyczących wydania danego pisma. Wypożyczone numery zostaną właścicielom zwrócone natychmiast po sfotografowaniu, a wszelkie koszta przesyłek pokryte. Korespondencję w tej sprawie prosimy kierować na adres: Wład. Leny, Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, Stratton House, Stratton St., London, W.1.

KOMUNIKAT

Szwalnia ośrodka rodzin wojskowych w Falkirk zawiadamia, że aż do odwołania nie będzie przyjmowała robót do naprawy.

Dla Polaków w Rosji: £9,964

Przesyłamy w załączeniu £10.10.0 jako składkę pracowników Polskiej YMCA za miesiąc październik na Polaków z Rosji.

Polska YMCA w Wielkiej Brytanii

* * *

Przesyłamy postal order na kwotę sh.15 d.5 z przeznaczeniem na P.C.K. Sumę powyższą uzyskaliśmy z licytacji na ten cel urządzonej wśród pacjentów tutejszego sanatorium.

Pacjenci Southfied Sanatorium

* * *

Zamiast kwiatów na trumny ś.p. ppor. Lucjana K. i ś.p. ppor. Witolda G. przesyłam sumę £1.0.0 /jeden funt/ na Fundusz Pomocy Polakom na Wschodzie.

Z żołnierskim pozdrowieniem

pchor. J.S.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na £14 sh.14, którą to kwotę Pułk Przeciwpancerny przeznacza:

a/ na pomoc polskim dzieciom wyewakuowanym z Rosji £7.7.0

b/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech £7.7.0

/dla Sekcji Pom. Pol. Jeńcom Woj./

Z poważaniem

O.T. wachm.

* * *

Dr. K. A. Wodzicki Konsul gener. Wellington, N.Z. w imieniu p. Leopolda Hartmana przesłał £1.0.0 na pomoc Polakom w Rosji.

* * *

NA DZIECI POLSKIE W ZSRR.

Mjr. obs. Z.M.P. otrzymane jako honorarium za artykuł w "Myśli Lotniczej"	£10.10.0
Mjr. obs. Z.M.P. w dowód wdzięczności za prace wykonane przez p. A. Pichneja	£ 2. 0.0
Zebrane w domu płk. dypl. obs. B.J.K.	£ 6. 0.0
Zebrane w domu płk. dypl. obs. B.J.K.	£ 1. 5.0

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £40.7.5. /słownie czterdzieści funtów, siedem szylingów i pięć pensów/ przekazaliśmy Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,964.16.4 /słownie: dziewięć tysięcy, dziewięćset sześćdziesiąt cztery funty, szesnaście szylingów i cztery pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

POSZUKIWANIA

WYKAZ Nr. 33

1. **Andryszak** Franciszek, sierż. — poszukiwany przez żonę Aleksandrę ur. 1900 w Rosji /3800/27/.
2. **Bacmaga** Antoni, sierż. — poszukiwany przez żonę Janinę i syna Stanisława w Rosji /3800/29/.
3. **Bamberger** Leon, bosman — poszukiwany przez żonę Annę, córkę Helenę i syna Tadeusza w Rosji /3800/25/.
4. **Bandrowski** Stanisław, por. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Jadwigę, córkę Krystynę, synów: Henryka, Zbigniewa, Lecha w Rosji /3800/27/.
5. **Biernacka** Aniela — zamieszkała przed wojną w Ostrowcu, pow. Lubaczów — poszukiwana przez Kappel Antoniego P/105 /5434/.
6. **Butkiewicz**, por. emeryt. — poszukiwany przez ojca Piotra ur. 1873 r. w Rosji /3800/28/.

Zbiórka książek

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Doceniając w pełni godną poparcia inicjatywę w. szan. Pana Redaktora, składania książek dla naszych kolegów na Wschodzie, uprzejmie zawiadamiam że w dniu dzisiejszym wysłałem bezpośrednio do Wydz. Prac Kulturalno — Oświatow. M.O.N. z prośbą o przesłanie na Wschód — 16 egzemplarzy "Bellony" i 15 sztuk różnych książek i broszur.

Łączę wyrazy należnego poważania

M.P. ppłk.

* * *

Przesyłam 5 broszur — książek dla naszych żołnierzy na bliskim Wschodzie.

F/Lt. S.W.

Załączone: A. Mickiewicz: "Pomniki literatury ojczystej" /2 egz./. "Rozmówki polsko-francuskie." J. Pomian: "Rzeczpospolita." T. Kiełpiński: "Ku jakiej Polsce idziemy."

* * *

W załączeniu przesyłam następujące książki dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie: St. Strzelecki: "Goering poluje na rysie." Liddel Hart: "Obrona dynamiczna." R. Umiastowski: "Bitwa polska." /4 egz./ J. Ciepielowski: "Konstytucja 3 Maja."

Z poważaniem

Wł. Frączek

* * *

Na ręce Pana Redaktora przesyłam książkę dla naszych żołnierzy na Bliskim Wschodzie.

J.A.

Załączone: Ewa Curie: "Madame Curie."

Dla jeńców: "paczki od serca"

Pułk przeciwpancerny na pomoc jeńcom polskim w Niemczech /dla sekcji Pom. Pol. Jeńcom Woj./ £7.7.0.

* * *

Przesyłam kwotę £10.10.6½ zebraną przez szeregowych Kompanii Sanitarnej 1. Sam. Bryg. Spadochronowej z przeznaczeniem na paczki od serca dla naszych jeńców wojennych w Niemczech.

Jednocześnie wzywam inne Kompanie Brygady do pójścia śladem sanitariuszów.

Pisarski

* * *

Zamiast kwiatów na grób ś.p. St. Wajdowicza pchor. pilota składają £2.15.0 /słownie: dwa funty, piętnaście szyl./ na jeńców wojennych

Koledzy

* * *

W związku z odejściem na inne stanowisko kapitana Feliksa M., przyjaciele i koledzy oficerowie składają £2 na fundusz Pomocy Jeńcom Polskim w Niemczech.

* * *

Patrycjusz Kowalski £1 dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Przesyłam £1 dla jeńców wojennych w Niemczech.

por. R.

* * *

Pierwszy kurs Polskiej Służby Lotniczej Kobiet załącza przy niniejszym postal order na £3.10.0 /funtów trzy, szylingów dziesięć/ z prośbą o przekazanie powyższej sumy na polskich jeńców wojennych w Niemczech.

P.S.L.K.

Przyszli spadochroniarze na jeńców wojennych sh.11. d.10 /jedenaście szylingów, d.10/.

B.W.

* * *

W załączeniu przesyłamy Postal Order na sumę £8 /słownie: osiem funtów/ od I. kursu elektromechaników samoch. i VI. kursu mechaników samochodowych przy C.W. Sap. zamiast urządzenia kolacji żołnierskiej na zakończenie kursów, na pomoc polskim jeńcom /szeregowym/ w Niemczech.

za d-cę plutonu

H.R. ppor.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £36.14.4½ /słownie trzydzieści sześć funtów, czternaście szylingów, cztery i pół pensa/przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £822.6.9½ /słownie: osiemset dwadzieścia dwa funty, sześć szylingów, dziewięć i pół pensa/ i 50 milrejsów.

POSZUKIWANIA

/dok. wykazu nr. 32/

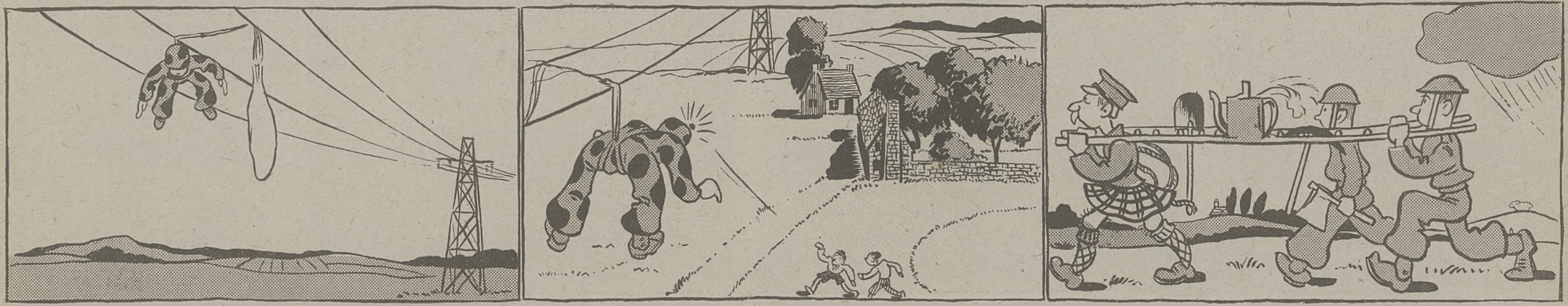
26. **Węglicki** Stanisław, ur. 1898, wyjechał z grupą "C" do W. Brytanii — poszukiwany przez Węglicką Marię, Teheran, Obóz Cyw. Nr. 3 /4259/.

27. **Wierzbicki** Tadeusz, ppor. ur. 1906, syn Juliana, był w Polsce w 2. Baonie Balonowym jako obserwator, wyjechał z Rosji do A.P. w Anglii — poszukiwany przez żonę Filipinę, Teheran, Obóz Cyw. Nr. 1. Delegatura M.P. i OP. Społ. /4246/.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

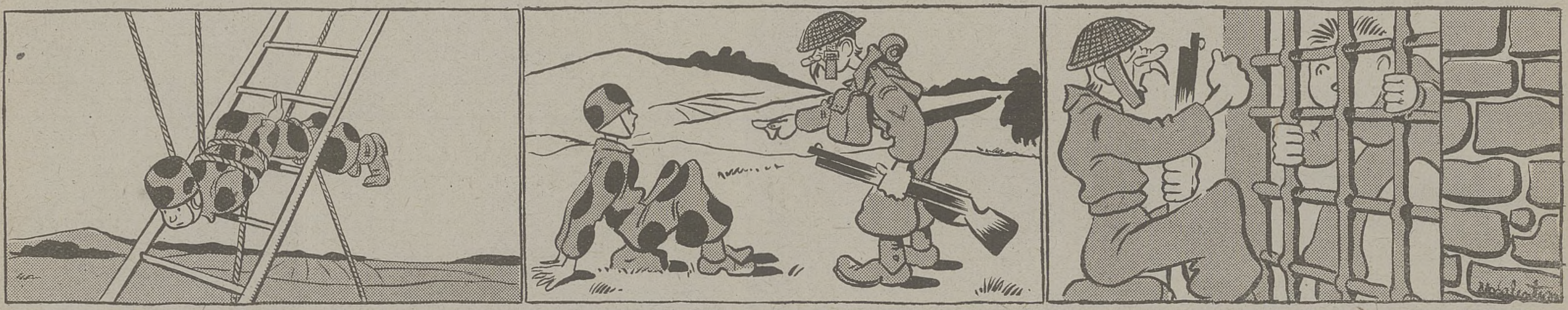
Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Spadał Pompka dość szybko, Prosto w śmierci objęcia— | Szczęściem zawisł na drutach Wysokiego napięcia.

Kilka godzin tak wisiał, Rozpaczliwe śląc krzyki, | Aż dwóch chłopców zaczęło Rzucać w niego kamyki.

Sklął urwisów Walenty, Comme il faut, przepisowo, | Wobec czego natychmiast Straż wezwali ogniową.



Przyjechali strażacy, Ustawili drabinę | I ściągali Walusia Po drabinie z godzinę.

Przy strażakach, pod bronią, Dzielny stał Home Guardzista— | Bez dyskusji oświadczył: German! Paraszutysta!

A ponieważ Walenty Był dość słabym Anglikiem— | Angielskiego się uczył Całą noc ze strażnikiem . . .

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Zmierzch bogów. — *Artur Horowicz:* Towarzysze /rysunek/. — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — *Marta Wańkowiczówna:* Spotykam was wszędzie /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Dekoracja oficerów brytyjskich. — *Jan Janusz:* Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu. — W szwajcarskiej kopalni antracytu. — *Hubert:* Bush without tears. — *Roman Fajans:* W cieniu lotaryńskiego krzyża /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — *Kazimierz Wodzicki:* O chlebie naszym powszednim. — Skrzynka pocztowa. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka na "paczki od serca." — Zbiórka książek. — *Ryszard Pobóg:* Przygody Walentego Pompki /rysunki *Mariana Walentynowicza*/. — Fotografie.

KURS ADMINISTRACYJNY W EDYNBURGU

Dnia 2-go listopada b.r. rozpocznie się w Edynburgu 6-cio tygodniowy kurs organizowany przez tamtejszy Uniwersytet dla Polaków, odbywających służbę wojskową, interesujących się bliżej administracją brytyjską, ze szczególnym uwzględnieniem organizacji i gospodarki administracji szkockiej.

Kandydaci na ten kurs winni przesyłać podania w drodze służbowej, do swych władz przełożonych, najdalej do dnia 15 października b.r. Pierwszeństwo mają pracownicy administracji rządowej i samorządowej, posiadający co najmniej średnie wykształcenie.

ZJAZD ZWIĄZKU ZIEM POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

Komitet Organizacyjny Związku Ziem Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej zawiadamia wszystkich zainteresowanych, że Zjazd Organizacyjny Związku odbędzie się w niedzielę, 17 października 1943 w Edynburgu.

P. Minister Obrony Narodowej rozkazem L. dz. 1229/W.Pol./43 z 28.9.1943 zezwolił żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych /Wojska, Marynarki Wojennej i Lotnictwa/ na udział w Zjeździe. Uczestnicy Zjazdu mogą zwrócić się do przełożonych o wydanie bezpłatnych biletów kolejowych.

Porządek Zjazdu jest następujący: 1/ Msza Święta, 2/ otwarcie Zjazdu, 3/ referat programowy, 4/ sprawozdanie, 5/ uchwalenie statutu 6/ wybór władz.

Szczegóły organizacyjne zostaną podane w najbliższym czasie.

POSZUKIWANIA

1. Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o rodzinie WOLF DROCK /recte/ LAUER lub o mgr. praw BEZALEL LAUER, jego żonie i dziecku, pochodzących ze Złoczowa, woj. Tarnopolskie jak również,

2. ABITURIENCI GIMN. im. Kr. JANA SOBIESKIEGO z lat 1934 i 1935 w Złoczowie, proszeni są o zgłoszenie się pod adresem: Mr. Fabian Lauer, c/o David Turoff, 29, Charles Str., Wilkes-Barre, Pa., U.S.A.

* * *

LEON JERZY KRZYWICKI, który był wywieziony jako jeniec wojenny do Rosji jest poszukiwany. Wszelkie informacje prosimy nadsyłać do Admin. "P.W." pod "Inż.A.K."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505' i 5506.